MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 3. WARSZAWA, 20 STYCZNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

CZERWONA ANTROPOLOGJA

ROZWÓJ przedwojennej antropologji rosyjskiej szedł raczej w kierunku ilościowym. Gromadzono tam liczne materjały antropologiczne, nie starając się i nie umiejąc ich syntetycznie uporządkować. Dość szeroko zaznajamia nas z tym stanem rosyjskiej antropologji w ostatniej swej książce („Człowiek w czasie i przestrzeni") profesor Jan Czekanowski. Jak z jego przedstawienia widać, na drodze do syntezy byli jedynie N. Sograff oraz E. M. Czepurkowski. Inni uczeni, którzy się nawet porywali na próby syntezy, dawali w najlepszym razie mniej lub więcej kompletne zestawienia materjałów i literatury.

Stan tego zastoju musiał się oczywiście pomścić na samej nauce. Jest to bowiem nieunikniony los nauki słabo pracującej, nie dającej ciekawych, ogólnych rozwiązań oraz odpowiedzi na konkretne życiowe pytania, związane z zakresem danej nauki, że ludzie odwracają się od niej, względnie, że czynniki postronne, np. polityczne, narzucają jej swoją wolę.

Po przewrocie bolszewickim stara, przedwojenna antropologja ostała się w Rosji. Wprawdzie najlepszy antropolog, E. M. Czepurkowski, nie wytrzymał i znalazł się na emigracji, ale część zdołała zachować swe placówki. Pracowali oni oczywiście i byli traktowani jako *„spece"*. Pod redakcją W. W. Bunaka zaczął w dalszym ciągu ukazywać się w Moskwie *„Russkij Antropołogiczeskij Żurnał"*. Jednem zdaniem, wyglądało wszystko na to, że stosunki w tej dziedzinie ułożą się pokojowo i ewolucyjnie, to znaczy, że antropologowie starego *régime*'u spokojnie wymrą, wychowawszy sobie następców.

Stało się jednak inaczej. Zamiast spokojnej ewolucji odbyła się w ostatnich latach na terenie sowieckiej antropologji rewolucja. Przyczyną tej rewolucji był nietylko niski poziom rosyjskiej antropologji, ale także pewne momenty natury zewnętrzno-politycznej. Oto w Niemczech zaczął dochodzić do coraz większego głosu rasizm, doktryna, jak to w swojej książce „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie" starałem się przedstawić, ostrzem swem skierowana przeciw państwom słowiańskim, a zatem i przeciw Rosji. Rządzące sfery sowieckie słusznie oczekiwały od antropologji naukowego i politycznego przeciwstawienia się niemieckiemu rasizmowi. Tymczasem rosyjska antropologja nie była w stanie tego uczynić. Nie była ona w tem szczęśliwem położeniu, w jakiem, dzięki działalności prof. Czekanowskiego i jego uczniów, znalazła się antropologja polska.

U nas antropologja dokonała samodzielnej syntezy naukowej, wyprzedzając w tej dziedzinie naukę światową, nawiązała kontakt z całym szeregiem dyscyplin pokrewnych i z zagadnieniami życia. Jeśli mowa o tym ostatnim momencie, to wspomnę o badaniach z zakresu antropologji militarnej, pedagogicznej i społeczno-politycznej. Tego wszystkiego sowiecka antropologja nie miała. Stąd nastąpiła katastrofa.

O szczegółach rewolucji antropologicznej w Rosji Sowieckiej wiele zagranicą nie wiemy. Jej rezultaty jednak ukazały się w roku 1932-im, a zewnętrznym jej objawem były zmiany w głównym organie rosyjskiej antropologji. Przestał się on nazywać *„Russkij Antropołogiczeskij Żurnał"*, a przyjął nazwę jeno *„Antropołogiczeskij Żurnał"*. Zmiana oczywiście wiele mówiąca. Chciano w niej niedwuznacznie zamanifestować właśnie moment rewolucji i zmiany. Może też przytem chodziło i o co innego. Oto *„Antropołogiczeskij Żurnał"* ma być jedynym i centralnym organem sowieckiej antropologji, a zatem zlikwiduje prawdopodobnie np. organ ukraińskiej antropologji.

W pierwszym numerze *„A. Ż."* publikuje redakcja artykuł wstępny, zatytułowany „O sowiecką antropologję". Jest to program pracy, a zarazem wyznanie wiary. Autorowie nie szczędzą krytyki nietylko burżuazyjnej antropologji państw za-

chodnich, która „jest lokajem burżuazji”, ale także dotyczasowej działalności antropologicznej uczonych rosyjskich, którzy już za czasów sowieckich pisali i drukowali prace „jawnie” reakcyjne.

Antropologja ma odtąd wejść w program drugiej „pięciolatki” i ma ruszyć z kopyta. Program pracy zaś zakreślono z iście gigantycznym rozmachem, godnym Dnieprostrojów. Najogólniej mówiąc, sowiecka antropologja ma się zająć opracowywaniem teoretycznych zagadnień, oczywiście na wysokim poziomie, oraz związaniem ich z zadaniami „socjalistycznego budownictwa” w Sowietach. Antropologja sowiecka musi się przedewszystkiem przeciwstawić niemieckiemu rasizmowi, który nie ogranicza się tylko do Francji i Niemiec, ale pojawił się nawet w Japonji. Jak zatem widzimy, przyczyny polityczne, które wywołały sowiecki przewrót, były wcale poważne. Sowiecka antropologja musi walczyć nietylko z „rasowym szowinizmem,” ale także musi zniszczyć „przeżytki kapitalizmu” w nauce o człowieku. Musi ona zwrócić specjalną uwagę na antropogenezę, nawiązując do teoryj ewolucjonistycznych. Jeśli mowa o zagadnieniach praktycznych, to należy zdobyć podstawy antropologiczne do naukowej organizacji pracy, aby przy ich pomocy można było właściwego człowieka postawić na właściwem miejscu. Pozatem należy zdobyć podstawy antropologiczne do standardyzacji odzieży, obuwia, mebli i t. p. Żaden kraj na kuli ziemskiej nie ma takich w tym kierunku możliwości, jakie daje bolszewicka gospodarka planowa.

Taki jest program czerwonej antropologji. Oczywiście, jego wykonanie będzie zależało przedewszystkiem od tego, czy nauka bolszewicka zdobędzie się na odłączenie się od rozmaitych przesądów, które z sobą niesie komunizm. Jeśliby tak pozostało nadal, jak w pierwszym roku po rosyjskiej rewolucji antropologicznej, której istotą jest wtargnięcie partji komunistycznej do antropologji, te horoskopy nie są nadzwyczajne. Ta rewolucja wykazuje bardzo dużo nawrotu do starej, ewolucjonistycznie pojętej antropologji, która właśnie była przyczyną zastoju tej nauki, zarówno w Rosji, jak i w Zachodniej Europie. Znamienny np. dla tych rewolucyjnych nastrojów jest fakt odwrócenia się od polskich wzorów. Trzeba to bowiem podkreślić, że antropologowie starej daty zaczynali po wojnie podlegać dość wybitnie naszej nauce. Objawiało się to przez liczne cytaty, referaty z polskiej literatury, podejmowanie tematów, opracowywanych przez polskich uczonych, oraz przez przejmowanie polskich metod badania. Po omawianej zaś rewolucji z miejsca oceniono nieprzychylnie Czekanowskiego „Zarys antropologji Polski”, dając mu przydawkę dzieła „idealistycznego”, co wedle nowej sowieckiej nomenklatury jest prawie-że obraźliwem określeniem. A wielka szkoda, że sowieccy antropologowie odsuwają wpływy polskiej nauki, gdyż niejednoby mogli z niej zaczerpnąć. Wszak jeśli mowa choćby tylko o standardyzacji, to Polska ma już pewne poważne doświadczenie, związane z wielkiem polskiem zdjęciem antropologicznem w armji, wyzyskanem także dla celów praktycznych. Również trudno się będzie przeciwstawić niemieckiemu, czy też japońskiemu rasizmowi, jeśli się nawraca do Darwina, a metody statystyczne uważa się za... idealistyczne i kapitalistyczne. Dobre to na masowy wiec robotniczy, ale wątpię, aby przyniosło coś więcej nad posady profesorskie kilku młodym komsomolcom, mniej prawdopodobnie wykształconym, aniżeli ich starsi mistrzowie. A przecież i oni nie sprostali zadaniu.

Kończąc, nie potrzebuję chyba podkreślać, jak wielkie zadania stoją przed antropologją polską, która wobec tendencyjności niemieckich rasistów i sowieckich czerwonych antropologów musi kroczyć po jedynie racjonalnej drodze szukania prawdy naukowej.

KAROL STOJANOWSKI

Z TAJNIKÓW POLITYKI ŻYDOWSKIEJ

ŚWIATOWA ORGANIZACJA SYJONISTYCZNA łączy szereg partyj żydowskich o różnych programach i często wrogich tendencjach. Wspólny tedy kongres tych partyj daje obraz przypominający obrady każdego innego parlamentu. Partje wchodzące w skład Organ. Syjon. są to (od prawicy do lewicy): Rewizjoniści, Mizrachiści, Syjoniści Ogólni, Syjoniści Radykalni i Lewica (żyd. socjaliści). Ortodoksi (Aguda) i ich przeciwstawienie—Bund i komuniści żyd.—w skład Org. Syjon. nie wchodzą.

Rewizjoniści są ugrupowaniem nacjonalistycznem, o strukturze faszystowskiej (koszule brunatne!), kierowanem przez „dyktatora”, Wł. Żabotyńskiego. Celem ich—zdobycie Palestyny, opanowanie Transjordanji, „usunięcie” arabów. Ich odłamem są Rewizjoniści demokratyczni (*Judenstaatpartei)* — słaba grupa, kierowana przez M. Grossmana.

Mizrachi—to partja syjonistów religijnych, będąca elementem łączącym areligijnie nastawioną Organ. Syjon. z masami żydostwa religijnego. Główny przywódca—rabin Berlin.

Syjoniści Ogólni — zlepek grup, działających bez wyraźnego programu, których zadaniem jest cementowanie różnorakich tendencyj syjonizmu w harmonijną całość. W ich szeregach widzimy najwybitniejsze postacie świata żydowskiego, jak Weizman, rab. Wise, Sokołow, Usyszkin i inni[1]). Z wielu względów jest to najciekawsze ugrupowanie żydowskie. Syjoniści Radykalni, pod wodzą Icka Grünbauma, liczebnie słabi, grupują elementy radykalne na terenie Polski, grawitujące ku lewicy. Ta ostatnia, niejednorodna, lecz silnie oparta o masy robotnicze, stanowi dziś liczbowo najsilniejszą grupę żydowską.

Również w skład władz Światowej Organizacji Syjonistycznej wchodzi szereg ugrupowań politycznych. Odbywają one co dwa lata wspólny Kongres Syjonistyczny, na którym zostaje obrany na 2-letnią kadencję Prezydent Organizacji, Egzekutywa i Komitet Wykonawczy (*Action Comittee*=A. C.)

---

[1]) Dzielą się na grupy A i B, z których A jest bardziej radykalna i liczniejsza.

Komitet Wykonawczy składa się z 70 osób i powstaje jako zgromadzenie delegatów poszczególnych ugrupowań w ilości proporcjonalnej do uzyskanych mandatów przy wyborach kongresowych. Zbiera się na sesje przeciętnie 2 razy do roku. Jest to ciało doradcze i kontrolujące w stosunku do Egzekutywy.

W rękach tej ostatniej spoczywa cała władza wykonawcza, składa się zaś ona z kilku lub kilkunastu ludzi, wybranych przez Kongres na mocy porozumienia stronnictw. Dzieli się na 2 centrale: Palestyńską i Londyńską, kieruje nią Prezydent, który jest zarazem Prezydentem Agencji Żydowskiej.

Agencja Żydowska jest to ciało, mające charakter reprezentacji całego żydostwa na *forum* międzynarodowem. Utrzymuje stosunki między żydowską Palestyną a władzami mandatowemi (Anglją) i Ligą Narodów. W skład jej wchodzą w równej ilości syjoniści i niesyjoniści (przedstawiciele żyd. kapitalistów).

*

Opanowanie władzy w Niemczech przez Hitlera utrudniło i skomplikowało sytuację żydowstwa międzynarodowego. Walka Hitlera z żydami, polegająca nie na pogromach, których żydostwo raczej pragnęło dla celów swej propagandy—a na rugowaniu żydów i ich potomków ze wszystkich dziedzin życia niemieckiego, była ciosem, który w swych dalszych konsekwencjach mógł się okazać śmiertelnym.

Odpowiedzią żydów był doskonale zorganizowany bojkot antyniemiecki, jednakże nowa sytuacja wywołała zamieszanie i poważną różnicę zdań nietylko w sprawach taktyki, ale nawet i dalszych celów Izraela.

Wynikiem katastrofalnej sytuacji był fakt, że żydzi wschodni załamali się, pomimo akcji żydów zachodnich, zdecydowanych prowadzić walkę z hitleryzmem za wszelką cenę. Natomiast wódz żydów wschodnich dr. Chaim Arlosoroff, kier. depart. polit. Egzekut. Syjon.—czołowy działacz lewicy żydowskiej powiedział:

„Trudno uwierzyć, żeby wypadki w Niemczech dały się umiejscowić. Kto wie, czy pierwsze niebezpieczeństwo nie zagraża 4,5 miljonom żydów w Stanach Zjednoczonych". („*Hajnt*" z dn. 29 maja 1933).

Jak widzimy, wiał z tych słów wielki pesymizm.

Wynikiem załamania się była decyzja przywódców żydów wsch. co do nawiązania rokowań z rządem niemieckim i szukania z nim porozumienia. Akcję tą powierzono dr. Ch. Arlosoroffowi i Wernerowi Senatorowi.

Plan Arlosoroffa był następujący:

„Przeniesienie z niemieckich szkół państwowych wyrzucanych dzieci do Palestyny i umieszczenie ich w tamtejszem szkolnictwie hebrajskiem, umieszczenie żydów niemieckich w rolnictwie i przemyśle palestyńskim — i likwidacja żydowskiego stanu posiadania w Niemczech. Ostatni punkt był uważany przez samego inicjatora za najbardziej skomplikowany. To można przygotować tylko przy pomocy dyplomatycznych układów z obecnym rządem niem., któremu naturalnie za pozwolenie wywiezienia żydowskich majątków trzeba dać odpowiednią rekompensatę".

„Rekompensata miała polegać na tem, że żydzi mieli wogóle zaniechać bojkotu Niemiec. Układy w tej sprawie zostały prowadzone z czynnikami miarodajnemi rządów Nazi. Ze strony żydowskiej brali udział dr. Arlosoroff z Wernerem Senatorem" („*Moment*" Nr. 141 z dn. 21.VI.33 r.).

Widzimy zatem, że układy były prowadzone i że żydów wschodnich reprezentował Arlosoroff i Senator. Wywołało to reakcję:

„Ostatni punkt planu (rokowania z Niemcami) nie spotkał się z sympatją w kołach radykalnych Syjonistów. Nie każdy z Ogólnych Syjonistów mógł dać zgodę na takie układy z rządem Hitlera. W każdymbądź razie, przez ten plan została zrobiona trudna próba połączenia rozwiązania kwestji żydów niemieckich z odbudową Palestyny" (tamże).

Arlosoroff w początku czerwca bawił w Wiedniu i w wielkiej sali *Konzerthaus*'u wygłosił referat o swym planie przed licznym tłumem słuchaczów. Nie wiedziano tylko tego, że układ z rządem niemieckim już został zawarty w formie dwóch układów: transferowego i kompensacyjnego, nawanego później pomarańczowym. Wprost z Wiednia pojechał Arlosoroff do Palestyny.

W dn. 17 czerwca 1933 r., na dwa miesiące przed XVIII Kongresem Syjon., zwołanym do Pragi Czeskiej, został Ch. Arlosoroff zamordowany w Tel-Awiwie. Mord nastąpił, dla upozorowania, w rocznicę stracenia 3 arabów palestyńskich. Poszlakowani mocno byli: Stawski, Rosenblatt i inni członkowie organ. Rewizjonistów. Arlosoroff niewątpliwie został zabity przez żydów. Śledztwo stwierdziło, iż oskarżeni należeli do wykrytej w Palestynie tajnej organizacji rewizjonistów, o charakterze terrorystycznym. Wszystko—rzekomo okryte tajemnicą. Po roku sąd skazał Stawskiego na karę śmierci. W apelacji został uniewinniony. Przewodniczący Trybunału Mc Donell oświadczył, że w Anglji istniejące dowody wystarczyłyby na wyrok śmierci — prawo zaś miejscowe wymaga „dwóch nieodpartych dowodów". W międzyczasie pewien arab, Abduł Medżiid oświadczył, że to on zabił Arlosoroffa; zeznanie swe potem cofnął, znów potwierdził i znów cofnął. Musiała ta komedja wiele kosztować...

Dowodzono zarazem ze strony obrony, że mord popełniono na tle... seksualnem. Oskarżano o morderstwo żonę Arlosoroffa, która, będąc świadkiem zabójstwa, zdecydowanie stwierdziła tożsamość zabójcy ze Stawskim.

Żargonowy „*Moment*" w d. 21.VII.33 (nr. 141) pisał jednak wyraźnie:

„Niema obecnie najmniejszej wątpliwości, że zamach dokonany na nim stoi w związku z misją, której przeprowadzenie w Europie wziął on na siebie".

Wszystkie wyżej cytowane wyjątki z „*Momentu*" pisał korespondent wiedeński tego pisma, I. Tiger, osobistość w świecie żydowskim wcale poważna.

*

W tym czasie właśnie zostały również przeprowadzone wybory na Kongres Syjonistyczny w Pradze, których wyniki, niezmiernie pouczające, warto jest poznać dokładniej.

Teren Rzplitej, z punktu widzenia żydów, dzieli się na 2 prowincje: Kongresówkę z Kresami oraz Małopolskę. Dwie te prowincje żyją życiem różnem, mają rozbieżne tendencje i tradycje odmienne—różnią się też wyraźnie układem sił politycznych. Najlepszą ilustracją będą tutaj wyniki wyborów. Organizacja Syjonistyczna w Małopolsce dzieli się na dwie niezależne organizacje o dwu egzekutywach — w Krakowie i Lwowie.

Ugrup. Sjonistyczne	Kongresówka		Małopolska		Ogółem	
	głosów	mand.	głosów	mand.	głosów	mand.
1. Rewizjoniści Żabotyńskiego	37.800	20	11.100	5	48.900	25
2. Rewizjoniści Grossmana		1	2.500	1		2
3. Mizrachi		14	7.900	3		17
4. Syjon. Ogólni		1	24.700	11		12
5. Radykalni		10	450	—		10
6. Lewica (Liga Prac. Palest.)	64.500	41	28.000	11	91.000	52
Ogółem .	217.000	87	76.000	31	290.000	118

Liczby podane są tu z przybliżeniem do 1 mandatu. Analizując wyniki, stwierdzić należy wzrost głosów i mandatów lewicy, która zdobyła na terenie Polski 45% głosów. W Małopolsce zdobyła lewica więcej mandatów niż Ogólni. Wpływy rewizjonistów dość równomiernie rozłożone są na całym terenie Polski. Mizrachi słabo stoi w Małopolsce, dobrze w Kongresówce.

Syjon. Ogólni ponieśli więc ciężką klęskę wyborczą w Kongresówce. Głosy ich zabrał Grünbaum na listę radykałów. Małopolska zaś nadal jest terenem ich dużych wpływów.

Poza Polską wybory odbyły się w 43 krajach, z wyjątkiem Niemiec i Rosji Sow. Wobec dużego roznamiętnienia i nadużyć wybory nie przeszły gładko. Miał z niemi dużo kłopotu Sąd Kongresowy. B. Locker, przywódca lewicy, w polemice kongresowej wołał: „Każdy maczał palce w nadużyciach!"

Wyniki, wraz z Polską, przedstawiają się następująco:

Rewizjoniści Żabotyńskiego zdobyli mandatów około 45
„ Grossmana „ „ 8
Mizrachi zdobyło „ „ 39
Syjoniści ogólni „ „ „ 75
Radykali Grünbauma „ „ 11
Lewica „ „ 138

Ogółem sprzedano szekli 820 tys., głosowało 540 tys. wyborców. Mandatów 305 z wyborów w okręgach i 11 z listy światowej—ogółem 316.

Ciekawe są wyniki wyborów w Polsce w zestawieniu z całością wyborów.

W Polsce padło 53% wszystkich głosów, które zdobyły... 36% mandatów. Pozwala to wysnuć ciekawe wnioski na temat traktowania żydów polskicц przez twórców ordynacji wyborczej.

Wyniki ogólne wskazują na dalszą silną radykalizację Organiz. Syjonist. Procentowo przedstawia się to jak następuje:

Rewizjoniści 13,2% mandatów
Mizrachi 11,5% „
Ogólni A i B 26,4% „
Radykalni 4,8% „
Lewica 44,6% „

Wpływy socjalistycznej lewicy ogarniają Palestynę, Polskę i wogóle wschodnią Europę. W wyniku ogólnego procesu radykalizacji, dawni Syjon. Ogólni w Polsce oddali częściowo swe głosyradykalnym i lewicy.

Ogólni cofnęli się na całym froncie. Z największego stronnictwa na poprzednim Kongresie stali się o 50% mniejszem od lewicy. Utrzymali swe wpływy jednak w ośrodkach żydowskich Zachodniej Europy i Ameryki. Główny ich bastjon, żydzi niemieccy przestali organizacyjnie istnieć.

Rewizjonizm dowiódł, że jest ruchem silnym i ma przyszłość. Ilość jego zwolnników w zestawieniu z poprzedniemi wyborami w 1931 r., wzrosła o 80%. Mizrachi utrzymało swe wpływy. Reasumując, stwierdzić należy silny wzrost skrzydeł: lewicowego i „faszystowskiego", kosztem centrum—czyli Syjonistów Ogólnych.

W rezultacie lewica wraz z radykałami posiadała 49,8% wszystkich mandatów — jeden krok do zupełnego opanowania sytuacji w syjonizmie. Nic dziwnego, że lewica dąży do opanowania agend Organizacji Syjonistycznej. Wywołało to w obozie Ogólnych zamieszanie i dzwonienie na trwogę.

Dr. Juljusz Wurcel („Chwila" № 5163) pisze:

„Założenia socjalizmu i syjonizmu są ze sobą zupełnie sprzeczne".

„Jest bardzo prawdopodobne, że zwycięstwo lewicy w skutkach swych może równać się wszystkich syjonistów największej klęsce. Jeśli syjonizm nie ma spłonąć w ogniu demagogji, muszą wszyscy ludzie dobrej woli zabezpieczyć koordynację sił, potrzebnych do odbudowy Palestyny, przed koordynacją sił, rwących się do władzy".

Idea socjalistyczna została wytworzona na eksport. Natomiast we własnym obozie równa się socjalizm — jak twierdzi „Chwila" — „największej klęsce". Z tego wynika, że socjalizm nie ma, jej zdaniem, zdolności konstrukcyjnych — wobec tego jakie?

Okazało się tedy, że i ten kij może mieć dwa końce. Wiele możnaby powiedzieć o walce żydostwa, we własnem łonie, z socjalizmem i oszczepieniu go otoczeniu—lecz to do tematu nie należy.

W atmosferze, wytworzonej przez śmierć Arlosoroff'a i zwycięstwo wyborcze lewicy, zjechali się delegaci do Pragi.

Skład Kongresu był następujący:

316 delegatów wybranych w głosowaniu
70 członków Komitetu Wykonawczego wybranego na poprzednim Kongresie
6 członków ustępującej Egzekutywy
10 wirylistów.

Ogółem 402 delegatów. Zajmijmy się obecnie taktyką stronnictw.

Lewica przybyła na Kongres buńczucznie, podniecona mordem swego wodza. Żądała usunięcia rewizjonistów z Organizacji. Na ich korzyść pracował postępujący wciąż rozkład wśród Ogólnych Sjonistów, z których grupa liczniejsza A silnie grawitowała ku lewicy. Radykałowie zdecydowanie poparli lewicę.

To też nic dziwnego, że apetyty lewicy były duże. Ben Gurion, jeden z jej wodzów, powiedział:

„Partja robotnicza nie pragnie już być frakcją w syjonizmie, lecz będzie dążyć do pozyskania pełnej władzy" („Chwila" Nr. 5179).

„Jeżeli chce się jednak obarczyć lewicę odpowiedzialnością objęcia egzekutywy, to oświadcza, że przed taką odpowiedzialnością się nie cofnie" („Chwila" Nr. 5181).

Rewizjoniści oświadczyli wyraźnie:

„Przybyliśmy na Kongres z zamiarami pokojowemi, ale skoro nas sprowokują, Kongres rozbijemy" („Chwila" Nr. 5178).

„Jest wielką zasługą ogólnych syjonistów i zaabsorbowało to ich wszystkie, niestety, siły, że mając na oku... daleką perspektywę zadań nie dopuścili do rozbicia Kongresu, nie dopuścili do wypędzenia gwoli motywom mściwości z rodziny naszego ruchu poważnej części tego ruchu" (Rewizjonistów) („Chwila" 5199).

Ogólni bronili rewizjonistów ze wszystkich sił; tak dalece, że wypędzenie rewizjonistów oznaczało dla nich zerwanie obrad.

Rozgrywka rozpoczęła się, zanim delegaci zjechali na Kongres.

„Bialik, referent spraw kulturalnych Kongresu, nie przybędzie na Kongres, gdyż stan jego zdrowia jest niepokojący. Będzie to od wielu lat pierwszy wypadek abstynencji Bialika" („Chwila" Nr. 5177).

„Weizman oświadczył paryskiemu współpracownikowi „Momentu", że nie ma zamiaru przybyć na Kongres, gdyż wyjeżdża w góry dla poratowania zdrowia" („Chwila" Nr. 5177).

A więc dwaj ludzie, będący *spiritus movens* wielu spraw — zachorowali. Weizman zresztą ostentacyjnie bawił w Czechosłowacji. Stawiał on od początku warunki:

„Weizman postawił jako warunek przybycia swego na Kongres wykluczenie z Organ. Syjon. Rewizjonistów" („Chwila" Nr. 5182).

W takiej sytuacji zjechali do Pragi delegaci. Ruch hitlerowski i kryzys gospodarczy komplikowały ją niezmiernie.

Stanowisko, zajęte wobec Kongresu przez Niemcy hitlerowskie, było bardzo charakterystyczne. „*Völkischer Beobachter*" zamieścił artykuł pióra A. Rosenberga, poświęcony Kongresowi, w którym czytamy:

„Będziemy zwracali baczną uwagę na rozwój wszelkiej działalności żydowskiej, jesteśmy bowiem przekonani, że prawdziwe zamiary nie będą ujawnione w toku przemówień na Kongresie i że będą powzięte tajne uchwały. Lecz oddziaływania powziętych na Kongresie uchwał dadzą się uchwycić w zachowaniu się prasy, w gospodarce światowej i w niektórych innych objawach. Również i te rzeczy będą starannie w Niemczech księgowane. Będziemy dbali też o to, by cios, przygotowany przez określone koła żydowskie celem ugodzenia w naród niemiecki, posiłkując się przytem innemi państwami, ugodził nie w Niemców, ale w winowajców tych spisków".

Ocena narad Kongresu i ich konsekwencyj jest zupełnie trafna. Ciekawe zarazem, że Niemcy walczą tu nie z żydostwem jako całością, ale z „określonemi kołami" żydowskiemi, łatwo się domyśleć, o kim mowa.

Wiemy już, że część żydostwa paktowała z Hitlerem, „określone koła" zaś krwawo przecięły dojrzewające porozumienie.

(D. c. n.) ADAM JAKUBOWSKI

KARNOŚĆ WSPÓŁDZIAŁANIA

U PODSTAW wszelkiej organizacji, jakiegokolwiek rodzaju i celu, leży jako jedna z cech — karność. Czy będzie to organizacja państwowa, czy najbardziej prywatny klub towarzyski, wojsko, czy spółka handlowa — zawsze opierać się one muszą na karności, jakimś jej rodzajem muszą być związane. Oczywiście, inna będzie forma karności w wojsku, niż w spółce handlowej, niemniej jednak jakaś karność wszędzie jest potrzebna.

Naogół mało się odróżnia karność samą, nad której określeniem niewiele się dotychczas biedzono, od norm i zwyczajów, które podtrzymanie karności, czy jej rozwój, mają na celu. Często również można zauważyć pomieszanie takich pojęć, jak karność i dyscyplina, karność i organizacja i t. p. Ponieważ artykuł niniejszy ma określony cel na oku, więc w rozważania oderwane nie zamierzam się tu wdawać. Zaznaczyć tylko muszę, że, według mnie, karność jest swoistą postawą psychiczną, umożliwiającą podporządkowanie się. Jest to definicja najogólniejsza, wymagająca właściwie obszerniejszego omówienia, na co jednak w artykule niniejszym nie widzę miejsca. Dyscypliną będzie system norm, zmierzających do wpojenia, czy rozwoju karności. Zaznaczywszy powyższe, przejść mogę już do *meritum*.

*

W czasie wojny światowej, jako oficer armji zaborczej, miałem możność obserwować bezpośrednio poziom karności i różne rodzaje jej uzewnętrzniania się u armij rozmaitych państw. Skala była bardzo rozległa, a bliższe obserwacje i przemyślenie ich doprowadziły mnie do wniosków następujących: 1) Poziom karności i jej cechy zewnętrzne zależą od różnych czynników, z których najważniejszemi są: a) charakter narodowy, b) moment wychowawczy, w formie celowej dyscypliny, c) stopień uświadomienia, d) indywidualność dowódcy, e) indywidualność jednostki, mającej się podporządkować, wreszcie, sporadycznie wpływ mają również i okoliczności zewnętrzne; 2) Dla poziomu karności w wojsku i jej objawiania się nie ma znaczenia sposób rekrutacji. W armjach, walczących w wojnie światowej, były takie, w których dopływ rekruta odbywał się w drodze poboru przymusowego, oraz takie, które opierały się na zgłoszeniach ochotniczych. Do pierwszych należała między innemi Rosja, ale również i Francja, a mimo to, wedle moich obserwacyj, karność — jeśli tak wolno nazwać — francuska i rosyjska, to klasyczne przykłady dwu różnych karności. By nie być posądzonym o nieścisłość, muszę w tem miejscu wyjaśnić, że oczywiście karność jest tylko jedna, mowa być może tylko o różnych jej typach, w zależności od cech zewnętrznych, wynikających z okoliczności, że różne bywają czynniki, wymienione powyżej pod 1). Do karności rosyjskiej zbliżona była m. in. karność austrjacka, do francuskiej angielska i amerykańska (mimo, że w armji francuskiej obowiązuje powszechna służba wojskowa, tamte dwie zaś dotychczas opierają się na systemie ochotniczym). Tak więc na innej płaszczyźnie należało rozpatrywać zagadnienie, a po bliższem przyjrzeniu się widzimy, iż właściwą tu jest płaszczyzna kultury. Naogół te dwa typy karności nazwać można: wschodnim i zachodnim.

Zasadniczo biorąc, dyscyplina, czyli, jak wyżej powiedziałem, system norm, zmierzających do wpojenia, czy rozwoju karności w każdej armji, liczyła się przedewszystkiem z najważniejszemi cechami, właściwemi charakterowi narodowemu danej armji, w równej jednak mierze miała na oku cele wychowawcze, dążąc do wyrobienia cech dodatnich, a usunięcia ujemnych.

Takie porobiłem obserwacje odnośnie do karności wojskowej. A jakżeż przedstawia się sprawa, jeśli idzie o karność „cywilną"?

Czynniki, o których wspominałem we wniosku pierwszym, naogół i tu dadzą się zaobserwować, czyli że na karność danego ugrupowania t. zn. poziom jej i jej cechy zewnętrzne wpływają, zasadniczo biorąc: i charakter narodowy, i stopień uświadomienia (w tym wypadku przywiązania do danej organizacji), i indywidualność przełożonych (może w jeszcze wyższym stopniu, niż w wojsku)

indywidualność podwładnych, wreszcie, również sporadycznie, okoliczności zewnętrzne. Dochodzi tutaj ważny czynnik w postaci celu danego ugrupowania, od którego w wielkiej mierze zależy poziom karności tegoż. Natomiast rzadziej zauważyć można moment wychowawczy, który tylko u niewielkiej ilości ugrupowań w pewnej mierze można zaobserwować.

*

O polskim charakterze narodowym wiele już pisano. Niejednokrotnie, jako szczególnie znamienną jego cechę, wymieniano wybujały indywidualim.

Nie da się zaprzeczyć, że, zasadniczo biorąc, nie jest to bynajmniej cecha ujemna, byleby naród umiał zdobyć się na wytworzenie kierownictwa, umiejącego indywidualizm ten należycie wyzyskać. Fakt ten, zwłaszcza w nowszych okresach naszych dziejów, miewał miejsce stosunkowo rzadko, to też zbyt mało jest stosunkowo w historji naszej momentów, w którychby ten indywidualizm, owładnięty ideą dobra ogólnego, odegrał należytą rolę twórczą. Do takich momentów — jak to świetnie zauważył Jan Rembieliński w swym artykule p. t. „Tysiącletnie opóźnienie" („Myśl Narodowa" z dn. 2.XII.1934) — należy niewątpliwie obrona Lwowa w listopadzie 1918 r. Gdyby kierownicy narodu umieli byli zestroić indywidalizm szlachecki z ideą państwową i narodową, to napewno takich momentów byłoby bardzo wiele, i w okresie, gdy mieliśmy własne rządy, i później, po rozbiorach. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że do rozbiorów wogóle nie byłoby doszło, a w każdym razie okres rozbiorów nie trwałby był tak długo.

Kłamcą jest ten, kto mówi, że Polacy są niekarni. Conajmniej jest w takim powiedzeniu ogromna doza przesady. Polacy, przy całym swym wybujałym indywidualizmie, są karni i nawet umieją się podporządkować. Ale współpracować... to znacznie trudniej. W każdym razie rządy nasze tego nas — z małemi wyjątkami — nie umiały nauczyć. Jest rzeczą charakterystyczną, że momenty, w których jednak jakoś na koordynację zdobyliśmy się, przypadają historji naszej przeważnie na okresy, w których rządu albo wogóle, albo tak jakby nie było (Potop szwedzki, obrona Lwowa, rok 1920).

Jeśli zatem najwybitniejszą naszą cechą narodową jest wybujały indywidualizm, to jasne jest, że nie powinna być pominięta żadna sposobność zastosowania odpowiedniej dyscypliny. W szkole i w wojsku, w kółku rodzinnem i w życiu publicznem, w zrzeszeniach dobrowolnych i w organizacjach przymusowych, — w każdej dziedzinie i na każdym kroku winny być stosowane normy dyscypliny, zdążającej do wpojenia w nas, czy rozwinięcia karności specjalnej, karności współdziałania. Jeśli ogólnie karność jest postawą psychiczną, umożliwiającą podporządkowanie się, to w szczególności idzie tu o podporządkowanie się celom ogólnym, dobru wspólnemu, w rozmiarze zaś narodu—idei narodowej, państwowej. Musi ono w konsekwencji nieuchronnie prowadzić do współdziałania. Jest to zatem karność współdziałania, a dla jej osiągnięcia w najszerszej mierze winien być zorganizowany odpowiedni system norm, czyli dyscyplina.

Kto ma to zadanie przeprowadzić? Wielkie zadania i wielkie obowiązki mamy, w naszej pracy organizacyjnej i wychowawczej, właśnie m y, o b ó z n a r o d o w y. Dlatego, że jesteśmy obozem, będącym krwią z krwi i kością z kości Narodu, dlatego, że Naród swój, jego przeszłość i przyszłość całą duszą kochamy i, nie zamykając oczu na nasze wady narodowe, widzimy również i zalety. Zacząć musimy od naszych własnych szeregów, a stopniowo przechodzić poprzez ugrupowania do nas zbliżone, czy zaprzyjaźnione, jakiegokolwiek będą rodzaju, do całego Narodu. Do osiągnięcia tej karności współdziałania przygotowywać musi szkoła, współpracować przedewszystkiem rodzina. Wedle tej linji orjentacyjnej nastawione być musi życie gospodarcze. Słowem — całe, pełne życie Narodu hasłem tem musi być przeniknięte. I wtedy przeprowadzenie tego wielkiego zadania jest zapewnione.

ADAM ŚWIEŻAWSKI

NIE U SIEBIE

(Dokończenie)

PRÓŻNE byłoby jednak domaganie się normalnych metod polemicznych od uczonego, który niewybredność w ich doborze posuwa do ostateczności. Oto przykłady: p. Grzegorczyk mówi:

„Sprawę asonansów przesądzili sami poeci, nie czekając opinji arbitrów. P. Pieńkowskiemu zaś dała zaraz świetną odpowiedź w „Myśli Narodowej" K. Iłłakowiczówna „Balladą o pierwszej żonie", w której właśnie niema tych dwu rzekomo kardynalnych, elementów, rygorystycznie wymaganych w recepcie Pieńkowskiego: t. j. niema stałego rytmu i pełnych rymów, ale — o dziwo! — jest... poezja!"

Jest poezja... No, oczywiście, że to nie stolarstwo, ani rzeźbiarstwo, lecz — poezja. Jakże jednak naiwne stanowisko obiera tu sobie mój przeciwnik, gdy w sporze o wartość asonansów przytacza jeszcze jedną garść asonansów! Wyobraźmy sobie na chwilę, że obaj polemiści przytaczają sobie nawzajem coraz nowe utwory asonansowe — jeden w milczącej pozie, że są piękne, a drugi — że są brzydkie. Czy nie wyniknie stąd pusta kołowacizna sporu tak osobliwego? Pisanie asonansami nie jest żadnym dowodem ich wartości, lub bezwartości, ale jest właśnie przedmiotem sporu estetologicznego.

Przeciwnik mój pozatem, przy sposobności, popełnia tu zwrot, podobny do moralności murzyńskiej, mianowicie: sam z całą swobodą przybiera postawę, którą we mnie potępia. On, t. j. p. Grzegorczyk ma prawo wyraźnie (jakkolwiek tylko domyślnie) utrzymywać, że asonanse są piękne, ale gdy ja mówię, że są brzydkie, to oto, jaką od p. Grzegorczyka otrzymuję wymówkę: (p. G. mówi):

„Nie wymaga również dyskusji taka prywatna wypowiedź autora: „asonans, jako że jest dysonansem, zawsze jest brzydki (!)", można zaś, zszedłszy z postawy arbitralnej i wzgardliwej"... i t. d.

Tak oto, gdy ja wyrażam swój sąd estetyczny, to jest to postawa arbitralna, zresztą rygorystyczna i wzgardliwa, a przytem wypowiedź... prywatna, gdy zaś to czyni p. Grzegorczyk, to niema w tem ani arbitralności, ani żadnej uczuciowości, ani recepty, lub rygoryzmu, ani też nie jest to

jego wypowiedzią prywatną. Ale zapewne oświadczeniem urzędowem? Nie tylko jednak siebie samego, w przeciwstawieniu do mnie, obdarza p. Grzegorczyk przywilejem tak zaszczytnym. Dopuszcza do niego również krytyków szwajcarskich, gdy mówi o nich przychylnie: „głoszą oni, że rymy w poezji to zbyteczne więzy, nie widzą w nich żadnych piękności". Tak oto i krytykom szwajcarskim, bez zarzutu rygoryzmu, recept, arbitralności, wzgardy i prywatności wolno wygłaszać „wypowiedzi" swoje o brzydocie danego zjawiska w poezji. Tylko ja z towarzystwa tego jestem usunięty i potępiony...

Nie smucę się, owszem — bardzom rad z tego, tembardziej, że szanowny mój przeciwnik umie o wiele ciekawszych metod i chwytów polemicznych używać, jak oto następujące: W przytoczonym już urywku wywodów swoich powiada, że ja wymagam od utworów poetyckich „stałego" rytmu. Zwracam uwagę, że nigdzie, jako żywo, o „stałym" rytmie nie mówiłem, i zaznaczam, że „stałego" rytmu od poezji wymagać może tylko idjota. P. Grzegorczyk nie waha się w postępku swoim i podsuwa mi kartę podrobioną. A w innem miejscu swojej polemiki znowu tej samej wolty używa: przytacza słowa moje, że „w sztuce kończą się wybujałości indywidualizmu", a następnie polemizuje ze mną tak, jakby mowa była o indywidualiźmie samym, a nie o jego wyłącznie wybujałościach. I tu podsuwa mi pogląd, którego nigdy i nigdzie nie wypowiedziałem. A w trzecim miejscu powiada, że ja za głębokie kalectwo organiczne uznaję

„to wszystko, co odbiega od przyjętych kanonów w zakresie formy dźwiękowej i techniki poetyckiej",

podczas gdy ja za owo kalectwo poczytałem tylko asonanse w nowoczesnej poezji wierszowanej, jako „rozrywające harmonję — tę każdego artyzmu opokę, która nietylko podobieństwa łączy, ale i przeciwieństwa". Zatem nie „wszystko", lecz tylko asonanse. Chwyty i sztuczki w tym rodzaju w grze każdej mają swoją ocenę ustaloną, która i tu im się należy — w tej naszej grze polemicznej...

Mam jednak wrażenie, że wszystkie, tak nieopanowane rzuty i odruchy, tej poprostu przypisać należy okoliczności, że szanowny polemista w nieswoim znalazł się żywiole i ratuje się instynktem ślepym, jak człowiek tonący. Więc oto, na (jeszcze jeden) przykład, utrzymuje, że pragnie sprowadzić rzecz na tory, umożliwiające porozumienie, poczem bezpośrednio puszcza swoje wywody na tor dysonansu w muzyce, i pisze, jak następuje:

„Rozwijając obszerną paralelę między muzyką a rymem i rytmem w poezji, zapomina (p. Pieńkowski) jakoś też o tem, że nieomal cała twórczość muzyczna od stu lat posługuje się dysonansem, jako potężnym efektem artystycznym".

Muszę naprzód znowu zastrzec się przed podsuwaniem mi kart, nie do mnie należących. Nigdzie nie rozwijałem obszernej paraleli między muzyką a rymem i rytmem w poezji. Mówiłem wyłącznie o muzycznych pierwiastkach poezji, a raz tylko powiedziałem, że „rym w poezji zastępuje melodję". O dysonansie zaś w szczególności i jego roli w muzyce wcale nie wspominałem dla tej prostej przyczyny, że słowo to w muzyce oznacza zupełnie co innego, aniżeli w poezji. Tu zatem na samym progu możliwego (w wyobraźni polemisty) „porozumienia" naszego powstaje niemożliwy do przebycia mur nieporozumienia.

Dysonans w muzyce jest zjawiskiem harmonicznem, powstaje i rozwiązuje się w jednoczesności dźwięków, jaką jest harmonja muzyczna. Poezja zaś nie posiada i nie może posiadać harmonji w znaczeniu muzycznem, ponieważ rozporządza tylko ubogą kolejnością dźwięków, a i te wszelkich odległości są pozbawione, czyli, że nawet najprostszej melodji muzycznej tworzyć nie mogą. Przytem i dźwięki same w muzyce, jako wibracje regularne o matematycznie ścisłych odległościach wzajemnych, są czemś zgoła odmiennem od dźwięków mowy ludzkiej, a więc i poezji, gdzie niema tonów, jak w muzyce instrumentalnej i wokalnej, ale są tylko szmery, syki, trzaski i inne odgłosy, na pięciu jednotonowych samogłoskach w różny sposób oparte. Wobec tego dysonans w muzyce, chociażby nawet nie był rozwiązany w konsonansie, stanowić może pełną wyrazu wartość muzyczną, podczas gdy w poezji dysonans jest tylko dźwiękiem fałszywym.

Asonans w poezji nazwałem dysonansem nietylko dla zgrzytu jego, ale także przez analogię etymologiczną, w takim oto szeregu słów: konsonans — współdźwięk, asonans — bezdźwięk, dysonans — rozdźwięk. Nie krępowałem się obecnością słowa „dysonans" w muzyce, bo tam pod niem kryje się całkiem inne pojęcie, tak samo, jak np. w ślusarstwie „zamek" jest przedmiotem innym i niewspółmiernym z „zamkiem", jako dziełem architektury. Powiedziałem, że „rym w poezji zastępuje melodję", ale tylko zastępuje, a to w znaczeniu, że rym w poezji wierszowanej stanowi jedyną sposobność do zwrócenia uwagi na dźwięczność, a mianowicie przez powtórzenie tego samego dźwięku ze słowa, w innym wierszu użytego. Tym sposobem nazwa asonansu mogłaby być zastosowana (chociaż zbytecznie) tylko do zestawienia słów, wcale dźwiękowo nie podobnych, jak np. „ulice" i „komory". Dysonansem zaś w poezji jest każde usiłowanie powtórzenia dźwięku, lecz niepełne, jakby chybione, czem właśnie popisują się w dzisiejszej poezji niby rymy, nazywane asonansami.

Ze zmianą nazwy asonansu na dysonans zgadza się również p. Grzegorczyk, z tą atoli nadzieją, że wtedy powstanie analogja do dysonansu muzycznego. Niestety, nie! Nowa nazwa niczego tu nie wskóra. Zabłąkanego w nieznanych sobie żywiołach uczonego naszego zwabiła i uwiodła dźwiękowa tożsamość dwu słów, niby pełna wdzięków syrena obcych mórz, i pociągnęła go w istny malstrom wywodów i pustych przymówek, z których ja go tu dopiero tym oto niewodem wyławiam i na twardym lądzie stawiam. Oby całego i zdrowego!

Porozumienie jednak z uratowanym rozbitkiem jest w dalszym ciągu niemożliwe, a to z powodu braku w nim słuchu muzycznego. Uczony biblofil przy każdej sposobności powtarza swoje katońskie „nie rymy o poezji stanowią".

To jest kalectwo, zwłaszcza u literatów dość często spotykane — kalectwo ucha. Lecz w takim razie p. Grzegorczyk nie ma danych nietylko do porozumień muzycznych, lecz nawet do wyrokowania, czy w rozprawce mojej było „pełno irytacyj", czy ich wcale nie było, bo o tem rozstrzygać może tylko ucho muzykalne. Lecz cóż tu mówić o muzykalności, gdy p. Grzegorczyk nie ma zmysłu do najprostszych nawet porównań poetyckich! Więc mówi naprzykład, że ja uciekam się „do tanich porównań ze skrzydłami „szczerych" (?) ptaków" i przy sło-

wie „szczerych” stawia znak zapytania. Bardzo wymowny to znak! Powiem tedy przeciwnikowi mojemu na ucho, że szczere ptaki to są te, co latają, o czem zresztą wyraźnie wspominałem, a nieszczere — to kury i gęsi domowe, a także strusie i tym podobne bezlotne, chociaż skrzydłami machające, stworzenia. I tu również p. Grzegorczyk wykazał zupełny brak danych do oceny taniości lub drogości jakichkolwiek, a zatem i poetyckich, zwrotów retorycznych... Wszystko to razem wymownie świadczy o tem, że podjął spór na nie swoim gruncie. Jest tu nie u siebie, więc niechże pozwoli, że szczerze mu na to uwagę jego obrócę.

Nie chcę bynajmniej ani siebie przed niesłusznemi przymówkami bronić, ani przeciwnikowi mojemu dokuczać, ale nie mogę pominąć żadnej sposobności w tym sporze, przy której daje się udowodnić niemuzykalne i nieartystyczne stanowisko p. Grzegorczyka, bowiem właśnie to jego stanowisko zasadniczo o całym przebiegu sporu rozstrzyga. Ujawnia on je bardzo często, ale w szczególności odsłania je w dwóch miejscach następujących.

Raz mówi, że bezprzedmiotowy jest spór o rymy „w oderwaniu od tekstu poetyckiego, bo nie rymy o poezji stanowią”. To wyrażenie i wiara w istnienie „tekstu poetyckiego” jest tak biblofilskie, archiwalne i niemal notarjalne, że ono jedno wystarczy, by każdy szczery (znowu „szczery”!) artysta z nerwowym wstrząsem odrazu od takiego traktowania dzieł sztuki się odwrócił. Ale i teoretyk sztuki i estetyk to samo uczynić muszą, bo stanowisko takie jest nietylko martwe, ale i nienaukowe.

A w innem miejscu syntetycznie sprawę swojego stanowiska ujmuje i tak prawi:

„można zaś, zszedłszy z postawy arbitralnej i wzgardliwej i, licząc się z faktami (bez względu na to, czy są brzydkie czy ładne) probować wytłumaczyć sobie zjawisko asonansu” i t. d.

Otóż tu właśnie mieści się sedno sprawy. Wszak nie kto inny, jeno sam p. Grzegorczyk od początku sporu ustalił jego teren w granicach, czy asonanse są ładne czy brzydkie, co już tytułem swojej pierwszej rozprawki („W obronie asonansów”) a następnie argumentami, w ich obronie nagromadzonemi, zaznaczył. A teraz skręca nagle i nakazuje „zejście z postawy arbitralnej i wzgardliwej”!.. Niechaj nam p. Artur Chojecki wytłumaczy, jak można „schodzić z postawy”, ja tymczasem wyraźnie stwierdzić muszę „zejście” mojego przeciwnika z ziemi, którą sam dobrowolnie na pojedynek udeptał.

Na zakończenie zaś tak wesołego zakończenia mogę zawołać tylko, by zabrał ze sobą wszystkie morały, które jako trutki na mnie podrzucił, a w szczególności ową „znajomość badań dotychczasowych i głębszą orjentację w przedmiocie”.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

SŁOWACKI A ROMANTYZM FRANCUSKI

SŁOWACKI, jak wiadomo, nie lubił Francji, a do Francuzów, jak się wyrażał, miał „jakąś nieprzezwyciężoną odrazę”; to samo odczuwał i względem literatury francuskiej. Pomimo to wszystko jednak od tej ostatniej, z doby romantyzmu, odebrał sporo natchnień, co odbiło się szczególniej na jego twórczości z okresu przedhistorycznego.

Wykazaniu wpływu romantyzmu francuskiego na Słowackiego poświęcona jest właśnie praca prof. Władysława Folkierskiego p. t. „Od Chateaubriand'a do Anhellego”, wydana świeżo nakładem polskiej Akademji Umiejętności (str. 161).

W „krąg Chateaubriand'a” wchodzimy z „Arabem”, którego zagadka psychologiczna (okrucieństwo, wiodące do zbrodni), jest, podług prof. Folkierskiego, podstawową dla zbadania i zrozumienia twórczości młodzieńczej Słowackiego. Ten problemat psychologiczny wiąże się z historyczno-literacką metodą badania genezy romantyzmu. Błąd metodyczny, popełniany w tym wypadku, polega na tem, że romantyzm utożsamiano z bajronizmem, a wszystko, co było w romantyzmie dziwaczne i niezrozumiałe, zwano „bajrońskiem”.

Właśnie, z powodu powyższego błędu, psychologja „Araba” — niezwykle zagadkowa, aż niezrozumiała — w naszych badaniach tego poematu odniesiona została do Byrona i bajronizmu.

Prof. Folkierski zbija ten pogląd, a źródeł zagadkowej psychologji wspomnianego poematu szuka w „Rènè'm” Chateaubriand'a. Zdaniem naszego badacza, Chateaubriand i jego bohater Réné „całą swoją potęgą zaciążyli na koncepcji młodzieńczej Słowackiego i, co większa, utworzyli łożysko uczuciowe, którem wartki strumień jego wyobraźni będzie płynął przez czas dłuższy.

„Arab” Słowackiego wyrósł na zatrutym gruncie radykalnego samotnictwa, doprowadzającego do okrucieństwa i zbrodni, a tego stanu pełnym wyrazem jest „*Rènè*”, w którym wogóle skupione zostały wszystkie typowe zalążki „choroby” romantycznej, mianowicie: poczucie nudy i pustki duchowej, rozczarowanie przed użyciem, przewaga wyobraźni nad uczuciem, nieokreśloność pragnień i t. p.

Na „pustynnym” szlaku Réné'go (prof. Folkierski słusznie odróżnia w romantyzmie europejskim — „pustynny” szlak Chateaubriand'a i „burzliwy, morski” szlak Byrona) wyrastają i inne utwory Słowackiego. Na tym szlaku stoi on i w „Godzinie Myśli” — kiedy to „wszystkie czucia skarby, ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie”, tej mianowicie wyobraźni, w której „nie było wiary w szczęście, ani w Boga“, i kiedy to w nim „ludzie mieli druha, w myślach świat miał wroga”. Dalej ilustracją „reneizmu” Słowackiego jest jego „Lambro”, pławiący się w marzeniach, zamiast działać i walczyć, — i także bezwładny i bezsilny „Kordjan”. Wpływ Chateaubriand'a odzywa się również w „Horsztyńskim”, w „Grobie Agamemnona”, w „Podróży na wschód”, wreszcie w „Anhellim”.

Zależność Słowackiego od „ojca” romantyzmu i „odnowiciela”, nietylko francuskiej, wyobraźni, udowadnia prof. Folkierski, zapomocą trafnych zestawień, w szeregu przenikliwych analiz odpowiednich utworów obu stron. Nie możemy tu przytaczać tego wszystkiego, gdyż nie nadaje się to do krótkiego streszczania, kto jednak przeczyta

pracę naszego uczonego, ten wywodom jego przyzna słuszność.

Faktem jest, że Słowacki przez dłuższy czas stał pod wpływem romantyzmu Chateaubriand'a, i więcej on go, w pewnym momencie, pociągał, niż romantyzm Byrona.

Nic w tem dziwnego, że tak było, pomimo „wstrętu", żywionego do literatury francuskiej, z tej między innemi przyczyny, że, w okresie młodzieńczym, Słowacki duchowo był bliższym muzy Chateaubriad'a, niż muzy Byrona.

Postawa Chateaubriand'a — Réné'go, wobec siebie samego i wobec świata, odpowiadała doskonale tej, jaką młody Słowacki uważał za właściwe przybrać dla siebie. Z obu stron mamy podobne „narcyzostwo", lubowanie się we własnych smutkach i melancholijnych nastrojach, no i podobnie subtelne alembikowanie z ich goryczy słodkich kropli rozkoszy, różniącej ich wybitnie od zwykłych śmiertelników.

Stąd też, między innemi, u obu podobne poczucie własnej niepospolitości, nie mówiąc już o tem, jakie płynęło z nadużyć krańcowej wyobraźni.

Mnie się nawet zdaje, że wogóle „chorobę" psychiki romantycznej Słowacki przebywał o wiele groźniej, o wiele poważniej, niż sam jej wynalazca — Chateaubriand. Słowacki, o wiele szczerzej od twórcy Réné'go, mógł zakonkludować o człowieku, że „jeżeli jest czemś, to tylko wskutek smutku swej duszy, oraz wieczystej melancholji swej myśli".

Już Sainte-Beuve, w swoich słynnych studjach, poświęconych Chateaubriand'owi („*Chateaubriand et son groupe littéraire*", 2 tomy), niejedno czyni zastrzeżenie co do szczerości tych stanów duszy (poczucie nudy i pustki, smutek i melancholja i t. p.), które zaciążyły na życiu Réné'go — Chateaubriand'a i odarły je z uroku.

Za naszych czasów inny znakomity krytyk, Lemaitre (p. „Chateaubriand") wręcz uważał „chorobę" romantyczną twórcy Réné'go za wykwit głównie literacki, za dyspozycję duszy, raczej wyobrażaną, niż przeżywaną. Lemaitre nawet utrzymuje, że Chateaubriand nie mógł tak bezdennie i śmiertelnie się nudzić i smucić, jak to wypowiada ustami Réné'go, gdyż trudno uwierzyć, żeby się zanudzał na śmierć człowiek, co, jak Chateaubriand, rozkoszował się nietylko swoją sławą, lecz i swemi tytułami oraz zaszczytami, który uważał życie własne za coś wysoce „udanego", a wreszcie ktoś, kto wyraził swoją nudę słowami dobranemi w sposób tak świetny, że to go wypełniało aż zadowoleniem z samego siebie. Dodajmy jeszcze do tego, człowiek zajęty przez całe życie kobietami, miłowany przez nie aż do późnej starości i sam je miłujący. Takiemu nie brak było uroczych rozrywek, rozpraszających nudę i dających, złudzenie przynajmniej, szczęścia. Jeśli nawet, wśród tego wszystkiego, co mu dawała sława i powodzenie, podlegał chwilami paroksyzmom nudy, to i stąd wyciągał nie małą przyjemność, umiał bowiem rozkoszować się i swoją nudą i swoją melancholją. Umiał to i Słowacki, pod tym jednak względem był mniejszym mistrzem od Chateaubriand'a. A przytem życie tak mu się układało, że mógł — nie rozmijając się z jego prawdą — mówić: „zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno, i wszędzie mi źle, i wiem, że źle będzie".

Bądź jak bądź jest rzeczą zrozumiałą, że Słowacki mógł ulegać, w pewnym okresie swej twórczości, urokowi niektórych utworów Chateaubriand'a i coś nie coś z nich zapożyczać, trudniej natomiast jest zrozumieć, iż, jak to w dalszym ciągu swej pracy przedstawia prof. Folkierski, zapożyczał się także i u Wiktora Hugo, z którym, w gruncie rzeczy, tak mało miał wspólnego. Oto co znaczy oddziaływanie pewnej, dominującej w danym momencie, atmosfery literackiej: przemocy jej ulegają niektórzy, nawet wbrew sobie samym.

Wprawdzie, w tym wypadku, głębszego, istotniejszego przejęcia się twórczością W. Hugo, jak stwierdza nasz badacz, nie było, — i wszystko ściąga się do wpływu jego estetyki — jaskrawej i banalnej w swoich przepisach — (łączenie groteski ze wzniosłością i t. p.) oraz jego techniki teatralnej na dramat Słowackiego.

Trzecim poetą romantycznym Francji, którego wpływ widnieje w twórczości Słowackiego, był Alfred de Vigny.

Znaczenie jego jest mniejsze od roli Chateaubriand'a w dziejach twórczych naszego poety; i jego jednak rola okazuje się w paru momentach „ciekawą", a w jednym nawet „dostojną", jak ją ocenia prof. Folkicrski. Moment „dostojny" wyraża się mianowicie w dostarczeniu Słowackiemu pomysłu do jego anielicy (Eloe) z Anhellego którą zawdzięczał anielicy z poematu Vigny'ego „Eloa".

Wszakże, jak wykazuje nasz badacz, to, co wziął twórca Anhellego od Vigny'ego, było czemś bardzo nieznacznem w porównaniu z tem, co wyszło z pod samodzielnie twórczej ręki naszego poety.

Całe bowiem piękno Eloe, cała jej treść emocjonalna i symboliczna, cała jej rola w poemacie Słowackiego należą wyłącznie do niego.

Właśnie — na tę samodzielność i oryginalność Słowackiego w rozwijaniu wszelkich pierwiastków i wątków, zapożyczonych u źródeł romantyzmu francuskiego, zwraca wciąż uwagę prof. Folkierski w swojem studjum.

Z całości badań, przeprowadzonych przez naszego autora nad związkiem twórczości Słowackiego (w danym okresie) z romantyzmem francuskim wynika, że ten genjalną ręką wyławiał z zaczerpniętego stamtąd surowego kruszcu to, co było potrzebne i co było prawdziwie szlachetne; że wydobytym przez siebie pierwiastkom nadawał, w swoich utworach, pełny ich blask, pozbawiając je fałszywych aljażów oraz przygniatającego sąsiedztwa.

To jest prawdziwie owocny rezultat porównawczo-literackich badań prof. Folkierskiego, które odznaczają się niepospolitem opanowaniem materjału obu literatur, nie grzeszą jednak popisem erudycyjnym, jedynie dla samego popisu, zarówno jak i nicowaniem danego utworu, w celu wydobycia z niego nitek złotogłowiu, by z trjumfem wykazywać ich obce pochodzenie.

Prof. Folkierski, w teorji i w praktyce, jest zwolennikiem tej metody porównawczego badania, w której chodzi o traktowanie zapożyczenia jako elementu twórczego, biorącego udział w tworzeniu i w tworzeniu się utworu.

Prócz tego, czem tak wybitnie zaznacza się omawiane studjum naszego uczonego, odznacza się ono jeszcze wytwornym kunsztem pisarskim.

O stylu prof. Folkierskiego, Francuz by powiedział, że jest „*très soigné et élégant*".

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

NA WIDOWNI

Co znaczy: 1935. — Myśli i kabała. — Lata 1895—1915—1925. — Tylko piątka! — O czem się pisze w r. 1935.— Brać na loterję, czy telefonować? -- N.W.R.R. też nic nie wie.

Zbiegiem okoliczności, między któremi było pewno znużenie, siadając do pisania tego raportu, straciłem z oczu wszystko, co wyczytałem w dziennikach. Szukałem w nich możliwości rozwiązania zagadki, na czem polega nasza polityka i do czego ona zmierza, jednem słowem o naszej współczesności dziejowej. Ponieważ bieglejsi nie mogą na ten temat nic powiedzieć, więc skądże ja? Z całej spółczesności ostała mi w oczach tylko jej nazwa, z którą się jeszcze nie oswoiłem: 1935.

Człowiek ma w takich warunkach zaćmienia skłonność do kabały. A miałem niedawno odwiedziny człowieka, który do rozwiązywania najtrudniejszych zagadnień stosuje metody kabalistyczne z wielkiem dla siebie zadowoleniem. Stawiał na czwórkę, ja zaś, aby coś powiedzieć, kwestjonowałem, czy nie lepsza byłaby piątka. Od nowego roku zaintrygowała mnie istotnie piątka.

1935 dzieli się przez 5, co daje 387. Ta liczba znowu ślicznie się dzieli przez 3 = 129. Mało tego — jeszcze przez 3 = 43. Dalej ani rusz. No tak ale 43 × 9 × 5 = 43 × 45 = 1935. To już coś znaczy: 43 × 45. Gdzież jest owo rozwiązujące wszystkie zagadnienia 44? Ono jest tam, gdzie krzyżyk — *da ist 44 begraben*. I znowu nic nie wiem, a byłem już na dobrej drodze. Najlepiej wtajemniczony martynista nie odgadnie, czem jest we współczesności naszej owe 44. Myśl publicysty rezygnuje z przepowiedni, a jednak trzyma się uporczywie cyfry 1935, niby że ona coś przypomina. Idzie dekadami lat, jak w butach 10-milowych wstecz we wspomnieniu. Dziwne upodobanie umysłu do systemu dziesiętnego.

— — — — — — — — — — — —

Gdy tak przechodzę całe swoje życie, to widzę, że wszystkie ważniejsze chwile, nie mówiąc o najważniejszej (ale jakże smętnej — jak mówił Norwid), mianowicie chwili urodzin, znaczyły się piątką. Nie będę wspominał o datach czysto osobistych, ale uderza mnie w tej chwili jedno: ilekroć brałem się do redagowania tygodnika, zawsze był to rok, kończący się na piątkę. Więc oto rok 1895 — wziąłem na siebie „Głos", rok 1915 — zacząłem redagować w Petersburgu „Sprawę Polską", rok 1925 — „Myśl Narodowa".

Trzy te tygodniki — to trzy etapy sprawy polskiej, którą rozwiązywała myśl narodowa, a w której los mi pozwolił głos zabierać. W r. 1895, kiedy „Głos" wznowiłem, redakcja początkowego „Głosu" (1887 — 1894) była w rozproszeniu. Jan Popławski parę miesięcy jeszcze w nowym „Głosie" pracował (puszczony z cytadeli, czekał na wyrok), a potem „zwiał" z Warszawy do Lwowa. To samo uczynił, ale z Mitawy, gdzie pozostawał na zesłaniu, Roman Dmowski. Tam we Lwowie, zabrali się w tym roku właśnie do wydawania „Przeglądu Wszechpolskiego". Jak widzimy, sprawa wypływała na wody wszechpolskie. Pozostawszy pod ciężkim tłumikiem cenzury, „Głos" skupiał pisarzy i czytelników wszechpolskiego autoramentu. Pracował dyskretnie nad ludem, co było w duchu cenzuralnego demokratyzmu, jak dla nas było wykonywaniem programu mickiewiczowskiego: szukania ducha narodowego.

Od tego sprawa polska się zaczynała: od szukania tego ducha, który w niewoli uległ zupełnej dezorganizacji, a w pewnych sferach zanikowi. Myślą narodową było wówczas, że tę organizację zacząć trzeba, jak od podwalin, od tego, co już jest organiczne, od instynktów, ukrytych w ludzie. W tem szukaniu dźwigni dla sprawy nie było żadnej zgoła kabały, myśl mieliśmy jasną i wiarę. I nie mieliśmy konkurencji politycznej. Filozoficznie sprzyjał nam pozytywizm, naukowo etnologja, która wtedy prowadziła robotę etnograficzną bardzo ożywioną, społecznie pomagała nam robota kulturalna w postaci rozdawnictwa wydawnictw oświatowych, z trudem przez rząd tolerowanych. Politycznie wszystkie grupy odsuwały się od nas w obawie, żeby nie wróciły czasy powstań, a przedewszystkiem ugodowcy (konserwatyści). Nie było walki jawnej z socjalistami, ale ideowo przeciwni byli polityce „chłopskiej obórki". Marzyli o traktorach i marzenie to spełniło się — w Rosji.

Naszem marzeniem było wtedy wyjarzmienie narodu, ale jakże daleką wydawała się chwila, kiedy nareszcie sprawa polska zarysuje się widomie na stropie polityki światowej. Poszło to szybciej, niż myśleliśmy. W miarę, jak ruch wszechpolski, nasz tak skromny zrazu ruch, rósł na siłach we wszystkich dzielnicach, zaczęto się liczyć z możliwością, że rychło przyjdzie czas, kiedy Polska upomni się o swoje nieprzedawnione prawa. Ugodowcy utrzymywali, że prawa są przedawnione. Był to spór teoretyczny, dopóki w tym procesie dziejowym nie było podmiotu prawa, który o sobie powie wszem wobec: jestem. Skądże mówić o państwie, gdy się wpierw nie zgłosi po nie Naród?

Z „Głosu" przenieśliśmy się do „Słowa Polskiego" (1902), a w związku z tem przeniesieniem powstało jawne stronnictwo polityczne, które już mogło od imienia narodu przemówić w parlamencie wiedeńskim; w r. 1905 już się zamknęło „Przegląd wszechpolski" i wkrótce zaczęła się akcja w Petersburgu. „Duma". Książka Dmowskiego „Niemcy, Rosja i kwestja Polska". stała się programem naszej polityki. A gdy wybuchła wojna, nikt już w Europie nie wątpił, że główną sprawą, jaką ona będzie miała do rozwiązania, stanie się sprawa polska.

W r. 1915 powstał w Petersburgu, w związku z działającym tam Komitetem Narodowym, tygodnik „Sprawa Polska". Już się w niej, o tej sprawie, pisało bez ogródek. Pierwsze numery układaliśmy wraz z R. Dmowskim, który jednak wkrótce wyjechał do Londynu i Paryża. Sprawę Polski uznała za swoją koalicja mocarstw, walczących z Niemcami. Próżne były wysiłki p. Zaleskiego (późniejszego ministra polskiego), Lednickiego, żydów, N.K.N-u i t. p., aby sprawę z tych rąk wyrwać, inicjatywę Dmowskiego udaremnić, Komitet Narodowy, przeniesiony do Paryża, skompromitować.

Sprawa jednak dojrzewała w opinji wbrew tej akcji filogermańskiej, dlatego, że oczywistość jej leżała objektywnie w fakcie istnienia woli narodu polskiego. Spór w Polsce o orjentację nie mógł już w błąd wprowadzić, kwestja bo-

wiem polityki, jaką naród ma prowadzić, nie jest zagadnieniem doktryny, lecz kwestją poznania faktu dziejowego. Przed narodem leży tylko jedna droga prawdziwa; tę trzeba odszukać przez poznanie objektywne zadań, jakie ma przed sobą naród. A tę intuicję poznawczą myśl polityczna czerpie ze ścisłego zespolenia się z życiem narodu. Spór o orjentację był w Polsce i jest ścieraniem się dwu aspiracyj: narodu polskiego z jednej strony i masonerji, jako agentury obcej — z drugiej strony.

Roczniki „Sprawy Polskiej“ (1915 — 1917), obejmujące 5 tomów, są nieocenionem źródłem historycznem, jeśli chodzi o poznanie kulis wschodnich tego starcia. Roczniki te są rzadkością bibljograficzną, pozostały po nich: edycja warszawska moich artykułów „Na wschodnim posterunku“ (Warszawa 1919), jako rozszerzone wydanie „Orjentacji wewnętrznej“ (Moskwa 1917), oraz książka „Proces Lednickiego“ (1924). Wspominam o nich dlatego, że za punkt wyjścia wziąłem tutaj swoje wspomnienia. Wynika z nich jedno, że w każdej dobie w owe lata piątkami znaczone wiadoma była linja polityczna Polski—czy w zamierzchłym roku 1895, czy w 1905, czy w 1915. Nie potrzeba było uciekać się do kabały.

To samo w r. 1925, który jest tem ważny, że po nim nastąpił rok 1926. W rocznikach „Myśli Narodowej”, których mam przed sobą już 17 tomów, znajdziemy wytłumaczenie tego, co naród polski myśli, coraz mniej jednak dać mogliśmy wyjaśnień, co i dlaczego Polska robi. Darmo wczytuję się w dzienniki, najlepiej poinformowane, jak „Kurjer Poranny” pp. Stpiczyńskiego i Rzymowskiego. I teraz biorę do ręki numer tego dziennika z 14 stycznia i szukam tropu. Ale daremnie. Znajduję natomiast takie rzeczy.

W artykule „Szkodliwy minimalizm“ prorządowy organ polemizuje z publicystą (Skiwskim), który zaleca, żeby tarcia między kościołem a państwem na polu wychowania pozostawić życiu, jako regulatorowi:

„Minimalizm” wniosków praktycznych p. Skiwskiego, teoretycznie objektywny i medjacyjny, nie jest żadnem stanowiskiem, jest raczej wykręcaniem się od wyraźnego zajęcia odważnej postawy, która konsekwentnie narzuca się z tak wyraźnie manifestowanych przesłanek jego rozumowania na temat niebezpieczeństwa i s z k o d l i w o ś c i w s p ó ł d z i a ł a n i a w y c h o w a n i a p a ń s t w o w e g o z r e l i g i j n e m i n i e m o ż n o ś c i p o g o d z e n i a i d e a ł u r e l i g i j n e g o z p a ń s t w o w y m”.

Tak się teraz traktuje podstawowe zagadnienia cywilizacji polskiej. Minimalizmowi przeciwstawia się maksymalizm (słowo to rosjanie zruszczyli na „bolszewizm“).

Na tej samej stronicy czytam wielki tytuł: „W plac Marsz. Piłsudskiego musimy włożyć najlepszy wysiłek naszego pokolenia“. Chodzi tu o plac w Warszawie, dawniej zwany Saskim; mianowicie o to, by miasto doprowadziło do porządku ten obszar. Artykuł kończy się słowami:

„Decyzja w sprawie regulacji placu Piłsudskiego musi być wsparta o poczucie pełnej odpowiedzialności za dzieło naszego pokolenia, które przekazać pragniemy pokoleniom przyszłym“.

Jaka bujna frazeologja! Autor wysoko sięgał po ten motyw, bo aż do artykułu pierwszego projektu nowej Konstytucji. Tam jest właśnie mowa o tych pokoleniach i przekazywaniu, a kończy się rzecz słowami: „Za spełnienie tego obowiązku odpowiada (pokolenie) przed potomnością, swoim honorem i swojem imieniem”. Tyle dyskutowano w komisjach nad tem, czy może być z tych powiedzeń jaki pożytek. Oto już jest.

— — — — — — — — — — — —

Trudno zaprzeczyć — myśl pracuje, na pewnych „odcinkach”, nawet z troską o rachunek przed przyszłemi pokoleniami. Ale na niepokojące pytanie, które poruszyłem, nie widzę odpowiedzi. Więc ciągnie mnie coś do kabały, jakbym należał do loży martynistów. Kabała jest rozpaczliwym środkiem poznawania rzeczy wśród zupełnej ciemności. System myślenia masońskiego wytworzyli ludzie, zabłąkani na bezdrożach, po utracie jedynej drogi jasnej—narodowej.

Rok 1935! Dziwna liczba! Wziąć taki numer na loterji? A może zatelefonować? To byłaby idea. Ale jaka serja telefonu? Ona musi tu być ukryta. Oho: jeżeli dodamy do siebie cyferki, otrzymamy 18. To za dużo. Jeszcze je raz: 1 + 8 = 9. Jest serja! Sprawdzimy: 18 podzielone przez dwa = 9. Ani chybi: jest serja. A więc 91935.

Zatelefonowałbym, ale nie mogę odejść od pisania, bo późno, a przytem wiem zgóry, jak to będzie. Zapytam:

— Czy to NW (Najnowsza Współczesność)? A tam odpowiedzą:

— Tak jest NWRR (oddział: Rzeczywista albo Radosna Rzeczywistość). A czego tam?

— Chciałem prosić o informację... (Słyszę wyraźnie, że ktoś się włącza).

— Ale kto mówi?

— MK (Mieszkaniec Kraju).

— Ale czy należy do BBWR?

— Gdzie tam, należy do kategorji WO (Wszyscy Obywatele).

— Więc jakiem prawem żąda informacji?

I po rozmowie. Zgóry można przewidzieć: nie powie. Choćby dlatego, że sam nic nie wie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

WODZOWIE „narodom wskazują drogi, ustalają ich byt polityczny”. Zdanie w dzisiejszych czasach tak często powtarzane, że wydaje się aż komunałem. Nic dziwnego, że ostatnio wypowiedział je znów np. prezes PKO dr. Henryk Gruber w odczycie, wygłoszonym w izbie handlowej polsko amerykańskiej, a np. publicysta „Wieczoru Warszawskiego”, dr. A. Dem. bez zastrzeżeń je aprobował. Jeden i drugi dr. w tym punkcie się zgodzili. *Communis opinio dr-um.* „Słuszny jest przeprowadzony przez dr. Grubera podział zadań między „wodzami” i narodami”. Wodzowie narodowi wskazują drogi, „ustalają ich byt polityczny”, „ale o ile chodzi o nowe drogi gospodarcze, to” — dodaje dr. A. Dem. „zamiast wodzów występują już całe narody”.

Zgodność ta jest tembardziej uderzająca, że zachodzi między zwolennikami różnych pozatem poglądów politycznych. Jest nie do pomyślenia, aby dr. H. Gruber, jako kierownik ważnej instytucji gospodarczej, nie był ściśle w poglądach dopasowany do obecnego *régime*'u, dr. A. Dem. zaś jest znanym publicystą opozycyjnym. Bez wahania jednak piszą się obaj na tezę, że „wodzowie narodom wskazują drogi”. Być może: tylko w takim

razie stwierdzić trzeba, że od chwili odzyskania niepodległości naród nasz obywał się bez wodzów. Tak się złożyło, że mężowie stanu, sięgający wzrokiem w przyszłość, przewidujący rozwój wypadków, i wykreślający linje polityki, nie byli jednak w tym okresie także kierownikami oficjalnej polityki naszego państwa, widomi zaś jego naczelnicy, popularnie okrzyczani „wodzami", prowadzili naród w ten sposób, że żadnych przed nim dróg nie wskazywali... W tych warunkach polityka narodu była, jak klisza fotograficzna, wywoływana pociemku. Ten w najwyższym stopniu zastanawiający fenomen, że „wodzostwo" nie było u nas w najmniejszym nawet stopniu związane z funkcją przewodnictwa, zwracania uwagi narodu ku celom dalszym, przewidywania i wskazywania dróg dziejowych — to niezmiernie dziwne zjawisko uszło całkiem uwagi publiczności i polityków, zasuggestjonowanych samą ideą wodza. Uznano bez trudu, że „wodzowie ustalają byt polityczny narodu": choćby mu byli w gruncie rzeczy całkiem niepotrzebni, choćby każda polityka, wszystko jedno przez kogo sprawowana, musiała być w danej chwili jedną i tą samą polityką, wynikającą niedwuznacznie z położenia narodu, z jego oczywistych potrzeb i ustalonych tradycyj... Społeczeństwo przywykło wprawdzie zamieniać się chętnie na podwładną masę, lecz wśród kierowników polityki oficjalnej nie było nikogo, ktoby przed niem odsłaniał twórcze plany, i wskazywał drogi, na które wejść należy. Przyzwyczaiło się do tego, że plany i zamiary wodza są mu zupełnie nieznane, z uciechy więc, że go posiada, przestało wogóle pytać, czy istnieją, czy też niema ich wcale. Ma się rozumieć, przestało też odróżniać politykę planową od przypadku, i aktywność od bierności. Zawierzyło się całkiem idei „wodzów," krzepiąc się myślą, że narazie podobniejsze się staje do Meksyku czy Ekwadoru, niż do dawnej Rzeczypospolitej...

ACZKOLWIEK TEKST NOWEJ KONSTYTUCJI, który, jak podały dzienniki, ma być uchwalony z entuzjazmem powtórnie (czy ostatecznie, to kwestja) 26-go stycznia b. r., nic nie mówi o „elicie", to jednak przyznać musimy, że pojęcie jej zostało obecnie bardziej sprecyzowane przez określenie postaci „szarego człowieka".

„Szary człowiek" to ten, który w swej masie przetrwał, dzięki nieskażonym instynktom, niewolę, oparł się rozmaitym orjentacjom, wskazującym jako sojusznika Niemca, co to „jak świat światem, nie będzie Polakowi bratem", bronił Chełmszczyzny i brał cięgi we Wrześni, nie chwaląc się tem w deklaracjach, upominających się o „krzyż niepodległości" wraz z przywilejem chociażby tylko zniżki kolejowej.

„Szary człowiek" to ten, który cierpiał, co jak ów Kolesa z Komarowa, gdy służąc w zaborczej flocie był surowo ukarany za przechowywanie relikwji—orzełka, by potem, po latach, po przebyciu obozu izolacyjnego w Berezie, być poniewieranym w swej godności Polaka i wleczonym po więzieniach pod ciężkim i jakże bolesnym zarzutem znieważenia godła państwa polskiego...

„Szarych ludzi" są całe miljony, z nich przecież składa się Naród. Szare są dni ich życia, szare, zdawałoby się, przeżycia i troski.

Weźmy, pierwszą z brzegu, taką najprostszą, jedną z licznych tysięcy podobnych.

Zabił niedawno chłop krowę, a mięso rozsprzedał sąsiadom. Nic w tem nie byłoby złego, gdyby nie to, że chłop ów był... członkiem Stronnictwa Narodowego. To też poszło do sądu oskarżenie o niewypełnienie jakichś formalności, przyczem weterynarz żyd śmiał w świadectwie napisać, iż „...(imię i nazwisko chłopa) znany szkodnik państwa..." i t. d.

Oskarżony sprawę oczywiście wygrał, nieformalności bowiem, jak się okazało, żadnych nie było, ale świadectwo i kwalifikacja zostały. Czyż nie została obrażona narodowa zbiorowość, przez krzywdę uczynioną jednemu z jej przedstawicieli?

Oto jest spojrzenie na dzień dzisiejszy. Bliskie spojrzenie. Oko w oko. Wejrzenie w istotę słownika, ilustrującą rzeczywistość. Chłop był przecież „szarym człowiekiem", oskarżający — elitą.

NAUKA i LITERATURA

„BIBLJOTECZKA BAŁTYCKA"

ŻYWĄ działalność wydawniczą Instytutu Bałtyckiego w Toruniu pomnożyło jedno jeszcze dokonanie. Rok 1934 przyniósł kilkanaście tomików estetycznie wydawanej „Bibljoteczki Bałtyckiej", która służy sprawie uznanej wagi i doniosłości. Komitet redakcyjny Bibljoteczki zadanie swe rozumie przedewszystkiem jako popularyzację dotychczasowych i przyszłych wyników badań pomorzoznawczych; przytem zwraca uwagę szczególną na zagadnienia życia portowego, komunikacji morskiej i handlu morskiego. Opracowany plan wydania szeregu broszur popularno-naukowych znaczną rozpiętością tematów wskazuje niemały zasięg prac naukowych i wydawniczych Instytutu. Broszury Bibljoteczki ukazują się przedewszystkiem w językach francuskim i angielskim, są zatem narzędziem propagandy naszej wśród obcych; jedynie niektóre zeszyty przeznaczono także dla czytelników w kraju.

„Bibljoteczka Bałtycka" obejmuje, jak dotychczas, 4 serje. Cykl geograficzny, obraz ziemi i ludzi, inauguruje przewodnik turystyczny: „Toruń, stolica Pomorza", pióra Zygmunta Knothe'go, inżyniera-architekta. Jest to zwięzły i oparty na dobrych źródłach szkic informacyjny, który przekroczył ambitnie pospolite schematy przewodników. Położenie i historja miasta, umiejętnie opowiedziana, oto treść uwag wstępnych, poprzedzających zwiedzanie śródmieścia. Przechadzka po starym Toruniu pozwala rozpoznać profil miasta, jego historyczne i kulturalne osobliwości, przechowane w cegle i kamieniu. Część druga przewodnika, niedarmo pisanego przez architekta, zawiera opis najważniejszych zabytków Torunia. Jest to analiza architektoniczna co wspanialszych pomników budownictwa miejskiego, uzupełniana przez zarys ich historji; przewodniki po Wilnie prof. Kłosa i po Krakowie d-ra Estreichera, łącząc sposoby opisu historycznego i analizę form architektonicznych, przodują nowemu typowi literatury krajoznawczej. Zwięzły zarys inż. Knothe'go kierunek ten utrwala. Część informacyjna o spacerach i wycieczkach toruńskich, wiadomości praktyczne, niezbędne dla turysty, szereg planów i ilustracyj, — składają się na całość użyteczną i pełną powabu.

Serja geograficzna „Bibljoteczki Bałtyckiej" zawiera dalej szkic prof. Florjana Znanieckiego: „Siły społeczne na Pomorzu", który wydano jedynie po angielsku i francusku, oraz broszurę Leona Wasilewskiego: „Stosunki narodowościowe na Pomorzu", również w języku angielskim i francuskim. Zeszyty inne zapowiedziane.

Serja historyczna w dalszym ciągu budzi nasze zaciekawienie. Zarys dziejów zakonu krzyżackiego w Prusach opracował tu prof. St. Zajączkowski, znawca zagadnień

pruskich i litewskich; zarys ten ukazał się także w języku polskim. Jest to próba przedstawienia roli dziejowej Zakonu Krzyżackiego w Prusach Wschodnich, na Pomorzu gdańskiem i w ziemi Chełmińskiej, „oparta — słowami autora — na rezultatach nauki niemieckiej i polskiej, z najściślejszem możliwie zachowaniem zasady *suum cuique*". Badacz celuje istotnie rzadkim objektywizmem w przedstawieniu treści, którą ujmuje jako „należyte określenie roli żywiołu polskiego w dziejach państwa Krzyżackiego w Prusach i na Pomorzu". Z serji historycznej Bibljoteczki doszedł nas jeszcze szkic angielski i francuski Artura Osborne: „Własność ziemska na Pomorzu".

Cykl ekonomiczny, rozważający stosunki gospodarcze i komunikacyjne, zagaja doskonała broszura dyr. J. Borowika: „Gdynia, port Rzeczypospolitej". Mamy przed sobą wydanie trzecie wersji polskiej, czwarte — francuskiej, piąte — angielskiej. Cyfry te świadczą, że praca trafia do rąk właściwych. Książka objaśnia czytelnikowi wszystkie najważniejsze zagadnienia portu gdyńskiego w rozdziałach, przedstawiających przyczyny zbudowania, dzieje realizacji, całkowity opis portu i jego urządzeń, oraz plany zamierzonej rozbudowy; nadto zaś rozważa znaczenie Gdyni dla handlu zagranicznego Polski. Rolę użytkową spełnia należycie część informacyjno-adresowa.

W tej samej serji ukazała się dalej publikacja Bolesława Leitgebera: „Kopenhaga, klucz Bałtyku". Jest to pierwszy u nas opis portu stołecznego Danji. Książeczce towarzyszy refleksja przedmowy, że stara Danja potrafi być nowoczesną, a nowa Danja starą. I treść broszury jest dwoista: w interesującym wykładzie łączy opis dzisiejszego portu oraz wszelkie zagadnienia morskie i gospodarcze, które narzuca teraźniejszość, ze spojrzeniem historycznem za siebie, w perspektywę odległą miasta, aż do wieku XII. Informator turystyczny zamyka broszurę.

Z tejże serji wynotujemy jeszcze rozprawę prof. M. Rybczyńskiego: „Wisła pomorska"; szkic przedstawia kolejno: dzieje gospodarcze Wisły, stan obecny Wisły pomorskiej, Wisłę pomorską w administracji polskiej, oraz żeglugę i znaczenie gospodarcze. Zasługuje na uwagę dodatek krytyczny: „Propaganda niemiecka w świele prawdy". Rozprawa ukazuje się w paru językach.

Serja czwarta Bibljoteczki — to cykl polityczny (Polska i Bałtyk). Odszukamy tu m. in. wydanie trzecie broszury propagandowej d-ra R. Lutmana: „Dziesięcioro o Pomorzu", która przedstawia nowy typ pracy tego rodzaju uderzający zwięzłością i przejrzystością wątku. Celem książeczki jest sformułowanie „systemu ścisłej argumentacji w sprawie przynależności Pomorza do Polski". Broszura d-ra Lutmana ukazuje się jednocześnie w wersji niemieckiej, francuskiej i angielskiej. Niechby spełniła najlepiej ważne swe zadanie!

Orjentując najogólniej w zeszytach „Bibljoteczki Bałtyckiej", trzeba raz jeszcze zaznaczyć jej intencje: szukanie najlepszej formy popularnej dla rzetelnej treści naukowej. Propaganda Instytutu, przeznaczona dla obcych, trafi i do swoich. E. P.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Niebawem ma wyjść z pod prasy pierwszy zeszyt wielkiego „Słownika biograficznego" nakładem Akademji Umiejętności. Na czele komitetu redakcyjnego stoi, jak wiadomo, prof. Wł. Konopczyński. Redakcja przyjęła ostatecznie system angielski, alfabetyczny. Słownik obejmie około 20.000 nazwisk nieżyjących twórców kultury i obrońców niepodległości Polski na przestrzeni 10 wieków.

Na „Słownik biograficzny" trzeba już teraz zgłaszać prenumeratę. Bez niej Akademja nie poradzi sobie z wielkiem zadaniem. Co dwa miesiące prenumeratorzy będą otrzymywać z przerwą wakacyjną jeden zeszyt (6 arkuszy druku, in 4°), czyli rocznie 5 dużych zeszytów na pięknym, bezdrzewnym papierze, stanowiących razem okazały tom. Wszystko w prenumeracie za 25 zł. rocznie. Potem cena zostanie podwyższona.

Prenumeratę przyjmują: Biuro wydawnictw Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków, ul. Sławkowska 17 i większe księgarnie.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Stanisław Cywiński wydał niedawno cenną pracę p. t. „Literatura w Wilnie i Wilno w literaturze". Wilno 1934 r. str. 30.

Piśmiennictwo polskie rozkwitało się w Wilnie w szczęśliwych dla rozwoju miasta okolicznościach. Król Zygmunt August upodobał sobie pobyt w tem mieście i przebywał tu często wraz ze swym orszakiem dworskim, złożonym z ludzi, zamiłowanych w nauce i sztuce. Bibljotekarzem króla był znakomity stylista Łukasz Górnicki, sekretarzem Andrzej Patrycy Nidecki, słynny w kraju i zagranicą humanista.

Pełna legendarnego uroku przeszłość miasta i piękno litewskiego krajobrazu w tej erze dobrobytu i potęgi państwa oddziaływały na wyobraźnię. Wówczas też wrzały w Wilnie polemiki Kolegium Jezuitów z kościołami reformowanemi i sektami Zwinglianów, Anababtystów, Arjanów, Socynianów, Nowochrzceńców, Antytrynitarjuszów, Nonadorantów i różnych innych. Dążność do interpretowania słów Ewangelji tak się rozwielmożniła, że „po śmierci Zygmunta Augusta naliczono siedemdziesiąt dwie wiar w Litwie..., ze szlachty ledwo tysiączny trzymał się wiary przodków". To też roiło się od wydawnictw erudycyjnych lub zgoła domorosłych „Postylli", Kazań, Katechizmów, Tarcz i Zwierciadeł Wiary, za i przeciw.

Wślad tych publikacyj odzywa się na początku siedemnastego stulecia poezja bohaterska, okolicznościowa, z powodu zwycięstwa Chodkiewicza pod Kirchholmem, a z czasem przychodzi do głosu historja wojen. Towarzyszą jej przekłady dzieł literatury rzymskiej: Seneki, Cycerona, Sallustjusza, Kwintyljona, Horacego. Powstaje nauka. Prof. Cywiński z niemałym trudem odnalazł druki dawno zapomnianych nauczycieli ówczesnego społeczeństwa, filozofów, historyków, moralistów, geografów i gramatyków.

Pod koniec osiemnastego wieku, w związku z ukazaniem się przekładów wybitnych dzieł francuskiej i angielskiej literatury pięknej, pojawiają się coraz to nowe utwory sceniczne, komedje i tragedje, a praca Akademji Wileńskiej, pod kierunkiem znakomitych uczonych, podnosi umysłowy poziom ogółu. Poezje Trembeckiego, Krasickiego i Karpińskiego kształcą smak artystyczny. Rozwija się i upowszechnia prasa, „Wilno staje się w tym czasie jakby drugą, obok Warszawy, stolicą Polski".

Autor poświęca szczegółową ocenę działalności uczonych, która stała się fundamentem pod przyszły gmach nauki polskiej: prawa, językoznawstwa, historji, przyrody, filozofji i krytyki. Omawia młodość Słowackiego i Mickiewicza, i wileńskie wydawnictwa romantyzmu.

Godnem podziwu jest przejrzyste rozplanowanie materjału literackiego w wierne obrazy życia umysłowego i politycznego epoki.

Trafną charakterystyką wywołał autor z niepamięci dz siejszej ery dzieła Chodźki, Syrokomli, Jeża, Odyńca, Kraszewskiego i wielu mniejszych pisarzów minionych czasów (A. W.)

TEATR

PIĘKNA HELENA

SPRAWOZDAWCA nasz teatralny dostał zaproszenie na premjerę „Pięknej Heleny" Offenbacha, wystawionej w teatrze Letnim i zataił je przed sprawozdawcą muzycznym, któremu się ono należało. Zrobił to, kierowany prywatą, bo chciał sam odświeżyć w sobie wrażenie tej wesołej piosnki na cześć złotowłosej Wenus — z czasów, kiedy nie wolno było pannom chodzić na „Piękną Helenę", ze względu na kankana i na rozciętą z boku szatę prymadonny.

Z libretta Meilhaca i Halévy'ego nie wiele p. Marjan Hemar pozostawił, tylko szkielet bajki, ale to, co było kolorytem dowcipu, przemalował swobodnie, podciągając komizm anachronizmu do naszego warszawskiego wieku XX. Mamy więc w tej przeróbce do czynienia z humorem rewjowym, z przebojami, szlagierami, czy jak tam. Żeby było weselej, zwierzchność pozwoliła na żarty z siebie samej, więc były koncepty na temat Akademji Literatury i Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej, co odrobinę trąci cynizmem. Bo gdy jednocześnie ta sama instytucja reklamuje się jako twierdza

kultury, na którą nie żal grosza publicznego, to trudno się śmiać z kupletu, który stwierdza, że nie wiadomo, po co założono Akademję.

Prawdę mówiąc, nikt też nie może zrozumieć, czy warto było fatygować wielką ideję kultury „państwowej", jako motyw tworzenia Tow. Kultury Teatralnej, na to, by wystawić „Piękną Helenę". Odpowiedzą, że nie dla kultury taką rzecz się wystawia, lecz dla ulżenia funduszom skarbowym. Ale to będzie błędne koło, *petitio principii*. Zapewne, w teatrze Nowym można doskonale urządzić *coctail-bar-dancing* dla przynoszenia dochodów Tow. Kultury. Mając tak dogodny monopol teatralny, łatwo zagarnąć wiele dziedzin dochodowych, nie mających nic wspólnego z kulturą.

Jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy przyczynia się do podniesienia kultury teatru, gdy się zmusza artystów dramatycznych do służenia muzie podkasanej. Jest to osobny rodzaj komedjanctwa i na to istniały zwykle osobne zespoły, specjalnie szkolone. Jakże wielkim artystą był Rufin Morozowicz, prototyp warszawskiego Menelausa; on odwrotnie nie był używany w komedji. Po co p. Orwid ma się uczyć śpiewać, gdy tak potrzebne są nowe talenty komedji i dramatowi?

Wystawiono „Piękną Helenę" zgrabnie. Pp. Modzelewska (Helena), Orwid (Menelaus), Dymsza (Kalchas), Żelechowska (Orestes), Achilles (Kurnakowicz), Parys, Ajaksy — było na co patrzeć. Dowcip Hemara wcale zręczny. Całość poprawnie wesoła. Z.

MUZYKA

FILHARMONJA wzięła ostatniemi czasy kurs klasyczny. Pojęcie klasycyzmu w sztuce należy do pojęć bodajże najbardziej płynnych. W gruncie rzeczy należy je rozumieć w znaczeniu: „o ustalonej wartości", skutkiem czego do klasycznej muzyki zaczynamy już potrosze zaliczać i Ryszarda Straussa. Dzisiaj wszak nie jest on już nowatorem, wywołującym dyskusje — słuchamy go wszyscy spokojnie, w skupieniu, bez sprzeciwu czy wzruszania ramionami. Wynik to kształcenia publiczności, przyzwyczajenia do coraz to nowszych zdobyczy i wartości, urabiania jej smaku.

Ażeby uniknąć nieporozumienia, zaznaczam odrazu, iż z całym ogromnym, należnym i niekłamanym szacunkiem odnoszę się do muzyki, zwanej potocznie klasyczną, obawiam się jednak, że obecna linja Filharmonji kryje w sobie wiele niebezpieczeństw. Kończy ona z owem śledzeniem rozwoju, posuwaniem się krok za krokiem i może wkrótce doprowadzić do tego, że o czemś, co się obecnie dzieje, mówić się będzie, jak o żelaznym wilku, nie odróżniając rzeczy wartościowych od przepojonej snobizmem i nieuctwem tandety.

To też nie bez radości spostrzegłem w programie ostatniego koncertu obok Beethovena i Bacha, nazwiska Respighi'ego i Rathausa, chociażby... z powodu możności spojrzenia na nie z krytycznego punktu widzenia.

Coprawda *toccatę C-dur* Bacha, w opracowaniu Leo Weinera, trudnoby mi było zaliczyć do utworów o „ustalonej wartości". Staję tu w obronie świetnego imienia i to nie tylko przeciw osobie Weinera. Dziwię się tym wszystkim, którzy kuszą się o oddanie sztuki bachowskiej brzmieniem orkiestry symfonicznej. Zamierzenie to, najbardziej nawet sprytnie, czy jeśli kto woli, majstersko przyrządzone, chybia celu, jest bowiem w swej istocie impresją, grzebiącą cały kunszt kompozycji. Proste, zdawałoby się, a jednak widocznie trudne do zrozumienia.

„Feste di Roma", poemat Ottorina Respighi'ego, mimo swej instrumentacji, nie jest pozbawiony miejscami naiwnej programowości i momentów naprawdę banalnych, obok zresztą i takich, które zasługują na szczery poklask. Całość jednak, dobrze zrobiona, daje ogromne pole do popisu orkiestrze, z którego zresztą w piątek skorzystała, grając bez zarzutu.

Podobnież popisała się w serenadzie op. 35 Karola Rathausa, którą, przyznać należy, Filharmonja polecała w sposób wielce osobliwy, tłumacząc, iż kompozytor w poszukiwaniu najnowszych dróg nie cofa się nawet „...przed zastosowaniem środków wyrazu, czy pomysłów technicznych, które nie zawsze porywają słuchacza". Proszę, jakie to zachęcające! Poczem następuje takie dodanie otuchy zaniepokojonemu wyraźnie posiadaczowi biletu, którego się mimo to ma zamiar uraczyć podobnym utworem: „Jeśli chodzi o serenadę, to ta wyróżnia się z całego dorobku kompozytorskiego Rathausa i wykonywana jest często przez najwybitniejszych kapelmistrzów zagranicznych".

Jeśli tak, to chyba wszystko w porządku... Prawda?

Partję fortepianową koncertu *b-dur* Beethovena wykonał Zbigniew Drzewiecki.

W. NARUSZ

FILM

ŚWIATOWID: „Świat się śmieje" reż. Aleksandrow, film sowiecki.

Na film ten czekaliśmy z niecierpliwością, ciekawi, co też Rosjanie — znani u nas tylko z filmowych utworów dramatycznych — pokażą w dziale komedji. Jest to bowiem komedja, o bardzo wyraziście zarysowanym podkładzie dźwiękowym.

Najlepsze filmy sowieckie, nietylko wyróżniające się wielką wartością artystyczną, ale i zupełnie odrębnem ujęciem, złożyły się na styl filmowy, który dziś nazywamy „szkołą sowiecką". Szkoła ta wywarła wielki wpływ na reżyserów innych narodowości, którzy się z niej niejednego nauczyli.

To wszystko pozwalało nam się spodziewać, że i w dziedzinie komedji reżyserja sowiecka pokaże własną, odrębną koncepcję kształtowania tego rodzaju utworów. Nadzieje te, do pewnego stopnia, zawiodły. Rosjanie pokazali tu raczej, czego się nauczyli od zagranicy: Francji i Ameryki. Trzeba przyznać, iż uczniowie w niejednem prześcignęli nauczycieli (zwłaszcza amerykanów), mimo to nie da się zaprzeczyć, że większość chwytów i pomysłów bierze początek z obcych źródeł.

Jeżeli jednak, mimo wszystko, film „Świat się śmieje", jako całość, nie przypomina komedyj ani francuskich, ani amerykańskich, to dlatego, że w nim gra, typy i środowisko są zupełnie inne, no i przedewszystkiem inny jest całkiem klimat tego filmu, dzięki specjalnie rosyjskiemu humorowi, który nie ma nic wspólnego z komizmem *made in U.S.A.*, ani z dowcipem francuskim, a jest poprostu radością życia.

Na początku, gdy muzykalny pastuch (Utiesów), śpiewając, odbywa wędrówkę przez drogi, pola i wzgórza, porwani cudowną rytmiką dźwięku i ruchu, ogarnięci przez jej żywioł, podążamy za nim (prowadzi nas aparat operatora). Ta kapitalna część filmu zrobiła na mnie największe wrażenie i uważam ją za najlepszą, zwłaszcza z punktu widzenia komedji dźwiękowej (reżyser zastosował tu umiejętnie pomysły z amerykańskich filmów rysunkowych, np.: wystukiwanie melodji nogami na deskach spotkanego po drodze mostka, patykiem — na garnkach, wiszących na przydrożnym płocie).

Jeden z dalszych fragmentów (wizyta) opiera, częściowo, swój komizm na amerykańskiej koncepcji prawa ruchu i bezwładności; tu też reżyser wygrywa znakomite efekty... bydłem, które, na głos fujarki popisującego się w salonie pastucha — muzykanta, włazi przez okna do sali, gdzie właśnie nakryto stół do jedzenia. Można sobie wyobrazić, co tu się dzieje! Krowa żłopie kruszon, prosię gospodaruje na stole, wkońcu, pijane, układa się na półmisku. Ten pomysł, o efektach zupełnie świeżych, jest chyba rdzennie rosyjski. Wogóle po tym filmie nie wolno już mówić o zgrywającym się aktorze, że gra jak bydlę, bo tu bydlęta, obok głównej pary aktorskiej, grają najlepiej.

Do najlepszych pomysłów zaliczyć także trzeba moment, gdy nasz pastuch, przebrany (już w mieście), przypadkowo staje na miejscu dyrygenta, przed orkiestrą w teatrze. Zoczywszy w loży ukochaną, daje jej znaki gwałtowną gestykulacją. Orkiestra, która przez omyłkę wzięła go za dyrygenta, gra, stosując się do tych gestów.

Natomiast za jedną z zasadniczych wad uważam zmontowanie całości z poszczególnych części, zupełnie różnych w typie, tonie i kategorji. Film, jako całość nie ma jedności rytmicznej, chociaż oddzielne jego fragmenty wykazują znakomite zespolenie ruchu z dźwiękiem. Co ma wspólnego rytmika początku, np., o płynności niemal tanecznej, z obcemi jej zupełnie efektami scen na wizycie? Wskutek tego, łączenie takich partyj, w dwu, tak innych w sposobach ujęcia rzeczywistości artystycznych, nosi raczej charakter mechaniczny, a nie organiczny.

Sympatyczna i b. dobra aktorka Orłowa posiada piękny głos. Operowanie nim, z umiejętnością operowej śpiewaczki, w chwilach, gdy gra prostą, bosonogą dziewuchę-służącą, ma w sobie smaczek dość pikantny.

Fotografja, tym razem, nieszczególna. Zapewne to wina słabej kopji.

KANDYD

TO i OWO

JAK już donosiliśmy, firma nakładowa Gebethnera i Wolffa zamierzyła wydawnictwo, polegające na wypuszczeniu w świat kompletnych dzieł najcelniejszych pisarzy polskich. Na początek przystąpiła do wydania dzieł Bolesława Prusa (Aleks. Głowackiego) i w tym celu ogłosiła prenumeratę, która dotąd jest otwarta. Któżby z niej nie skorzystał, gdy nadarza się sposobność nabycia drobnemi ratami za 88 zł. tak cennego zbioru, jak 26 tomów Prusa!

Wyszedł tom I, zawierający najwcześniejsze drobiazgi Prusa z r. 1873, dziś nikomu nieznane pt. „To i owo". W tym pierwszym tomie znajdujemy przedmowy: Akademji Literatury, która nad całem wydawnictwem objęła protektorat z tego względu, jak się tam pisze, że ci sławni autorowie za życia swego stanowili akademję literatury polskiej, potem przedmowy redaktorów dzieł Prusa: Ignacego Chrzanowskiego i Zygmunta Szweykowskiego.

Korzystając z pozwolenia wydawców, podajemy niżej końcowy obrazek z „To i owo":

FILOZOF i PROSTAK

Niektóry kupiec, z cesarskiego miasta Szang-hai, imieniem Y-ang, pożyczył kilkadziesiąt srebrnych pieniędzy od pewnego biedaka S-ju, który na zebranie takiej sumki ciężko przez kilkanaście lat pracować musiał. Umówili się przytem, że S-ju za procent zostanie u Y-anga stróżem na lat trzy.

Przez ten czas S-ju sprawował się dość pilnie, dom i podwórze w czystości utrzymywał, z pobliskiego źródła na osłach wodę przywoził, pana swego czcił i do pagody regularnie uczęszczał. Sąsiedzi, patrząc na to, zazdrościli Y-angowi odźwiernego, jemu zaś przepowiadali długie życie i liczne potomstwo.

Upływały lata i dawno już minął termin, w którym S-ju miał pieniądze od Y-anga odebrać; zniecierpliwiony wreszcie długiem oczekiwaniem, udał się do pana i przypomniał mu o swoim długu. Ale Y-ang z oddaniem nie śpieszył się, z dnia na dzień odkładał, aż wkońcu, posławszy S-ju do miasta, wezwał żonę jego po odebranie należnych pieniędzy.

— Małżonko odźwiernego S-ju — rzekł do wchodzącej — masz-że ów kwit z mojem imieniem, który panu i mężowi twemu dałem, na znak, że złożył u mnie pieniądze.

— Mam, panie nasz — odpowiedziała zamężna S-ju i wydobywszy papier, oddała go Y-angowi.

Yang papier wziął, rozdarł, w ogień rzucił i rzekł:

— Odejdź, dobra kobieto, z przed oblicza mojego, albowiem oddałem już to, co się wam należało!...

Gdy S-ju wrócił do domu i od żony dowiedział się, co zaszło, wpadł w wielki gniew i pobiegł do mandaryna ze skargą. Zasłyszawszy o tem Y-ang, również wybrał się na sąd, ale z pękatym workiem.

A gdy wszedł do przybytku sprawiedliwości, wezwał na ustęp mandaryna sędziego, mieszek ofiarował mu i niewinności dowiódł, jak przystoi. Wówczas mandaryn kazał, aby S-ju wprowadzono do wysłuchania wyroku w którym było, co następuje:

„Sju, kulisie! nakłoń ucha twego ku wargom moim, albowiem mądrość niemi gada.

„Jeżeli miałeś kwit od Y-anga na złożone u niego pieniądze, pocoś żonie oddał papier tak cenny? Sam siebie okrada, kto białogłowie skarb powierza, wołają mędrcy; nie Y-ang więc ciebie, ale ty sam siebie okradłeś i jesteś przeto złodziejem.

„Jeżeliś okradł samego siebie, a Y-anga o kradzież oskarżył, przeto jesteś znowu potwarcą. Jeżeli zaś jesteś i złodziejem i potwarcą, będziesz więc miał oczy wyłupione i głowę uciętą".

— — — — — — — — — — — — — — —

Przez ulice miasta Szang-hai na plac kaźni prowadzony S-ju krzyczał i płakał tak, że aż się ludzie oglądali. Przechodzący w tę porę filozof Y-ak zapragnął uspokoić biedaka i w tym celu zapytał S-ju, czego tak głośno krzyczy?

— Ach! — odpowiedział nieszczęśliwy — i jakże nie mam krzyczeć, kiedy niedość, że mi pieniądze zabrali, ale jeszcze oczy mi wyłupią i głowę utną!... Niechby choć głowę zostawili!...

— Znać zaraz, że nie jesteś filozofem — rzekł Y-ak — inaczej prędkobyś się pocieszył. O S-ju! zastanów się tylko nad słowami mojemi i powiedz: co ci po głowie, jeżeli oczy będziesz miał wyłupione?...

— Prawda — odpowiedział S-ju — ale w takim razie pocóż mi chcą oczy wyłupić?...

— Człowieku z gminu! — zawołał oburzony filozof — a cóż ci po oczach, jeżeli głowę będziesz miał uciętą?...

Po tych słowach filozofa radość i spokój zapełniły całą ziemię. Cieszył się Y-ak, albowiem wiedział, iż w mądrości nikt mu nie wyrówna; cieszyli się mandaryni, albowiem niedawno zatonął okręt angielski na Żółtem morzu; cieszył się lud, albowiem był wielki urodzaj na ryż i herbatę; cieszył się wreszcie oprawca Fu, albowiem tego dnia wielu ludziom rozmaite członki obcinał i szaty ich zabierał.

Tylko kulis S-ju psuł radość ogólną swojemi niewczesnemi wrzaskami i skargami; nikt mu się jednakże nie dziwił, albowiem dobrze wiedziano, że był prostakiem i nie znał się na filozofji.

BOLESŁAW PRUS

N A M A R G I N E S I E

Na komisji budżetowej ktoś z opozycji powiedział podobno pod adresem sanatorów:

— Panowie przypominacie mi tę niewiastę, która po długich debatach oświadczyła mężowi:

— Dobrze, od jutra zaprowadzę oszczędności, ale musisz mi dać na to tysiąc złotych...

*

Z okazji rozciągania protektoratu nad wydawnictwem klasyków, zaczęła się w Akademji Literackiej dyskusja, w której wysunięto motyw, że gdyby żyli jeszcze Sienkiewicz, Prus, Dygasiński, Orzeszkowa, Wyspiański, Kasprowicz, Żeromski, Reymont, to napewno byliby członkami Akademji.

Na to Kaden miał powiedzieć, że nie wie, jakby to było, ponieważ kredyty przyznano tylko na 15 foteli, a te są zajęte wedle wskazań konieczności państwowych. Niestety i nieśmiertelność musi się obracać w granicach przewidzianych przez budżet. Zresztą gdyby żyli, niewiadomo, czy odpowiadaliby warunkom obecnie stabilizowanej nieśmiertelności.

— Niech spoczywają w pokoju! — przeciął dyskusję prezes.

*

W Akademji Literackiej na wieczorze literackim zabawiano się w krytykę instytucji cenzury. Czyżby Akademja uważała, że państwu wystarczy jedna tylko instytucja literacka?

*

Dzienniki coraz częściej radę przyboczną komisarza m. Warszawy, p. Starzyńskiego, nazywają b a j r a t e m (z niem. *Beirath*). Członków tej rady będą zapewne nazywać nie rajcami, jak się dawniej mówiło, lecz b a j r a j c a m i. Pierwszem zadaniem bajrajców będzie podobno uchwalenie podwyżki podatku od nieruchomości o sto procent. Dlaczego nie o dwieście odrazu?

B a j r a j c a dobrze brzmi ze względu na symboliczną literę B, potem b a j (wolno będzie gadać), a zwłaszcza, że r a j. Bajże baju—będziesz w raju. Tym rajem będzie Warszawa. Bo czyż cała ta nazwa b a j r a j c a nie robi wrażenia dzielności, jakiejś jurności... stuprocentowej?

(Notatkę tę dajemy powtórnie, ponieważ w poprzednim numerze zniekształciły ją błędy drukarskie).

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ ZA

„MYŚL NARODOWĄ"

NA ROK 1935

PRENUMERATA

CAŁOROCZNA
Z GÓRY
32 ZŁ.

PÓŁROCZNA
Z GÓRY
17 ZŁ.

KWARTALNA
Z GÓRY
9 ZŁ.

ROMANA DMOWSKIEGO

PRZEWRÓT

CENA ZŁ. 8.— Str. XII i 494

MYŚLI NOWOCZESNEGO POLAKA

CENA ZŁ. 5.— Str. XLIV i 296
4-te uzupełnione wydanie

Do nabycia we wszystkich księgarniach.
Skład główny: w adm. „Gazety Warszaw."

WYSZŁA Z POD PRASY KSIĄŻKA

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

NORWID

Str. 248. Cena zł. 5 (z przes.)

NABYWAĆ MOŻNA W ADMINISTRACJI

„MYŚLI NARODOWEJ"

AL. JEROZOLIMSKIE 17

KONTO W P.K.O. Nr. 3.105

NOWA KSIĄŻKA

p. t.

ŚWIATOWA POLITYKA ŻYDOWSKA

Napisana przez
ZBIGNIEWA KRASNOWSKIEGO

jest niezmiernie cennem wydawnictwem
do nabycia w administracji
„MYŚLI NARODOWEJ"

Warszawa Al. Jerozolimskie 17

Cena 4 zł., z przesyłką pocztową 5 zł.
Za zaliczeniem pocztowem 5 zł. 50 gr.

Należność można wpłacać na konto czekowe P. K. O. „Myśli Narodowej" Nr. 3105.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM